Hospicjum to też Życie

KWARTALNIK HOSPICYJNY 2017 (51)3 ISSN 1896–8678

Wolontariat bez rozkazu

Ach, co to był za **rejs!**

Opiekunowie rodzinni proszą o opiekę

Partner wydania

LPP

PRAWA OPIEKUNA

1. Prawo do odpowiedniego dbania o swoje własne potrzeby.
2. Prawo do radości z tego, że jest zdrowy.
3. Prawo do budowania wokół siebie sieci osób będących wsparciem.
4. Prawo do decydowania o tym, z kim rozmawia na temat spraw związanych ze sprawowaniem opieki.
5. Prawo do „wzięcia wolnego" od opieki nad bliskim bez poczucia winy.
6. Prawo do zwrócenia się o pomoc do przyjaciół, innych członków rodziny i profesjonalistów, kiedy jest taka potrzeba.
7. Prawo do wyrażania własnego zdania i własnych opinii z poszanowaniem autonomii chorego.
8. Prawo do poznania prawdy o chorobie i o tym, co dzieje się z chorym, zgodnie z jego wolą.
9. Prawo do odmowy składania choremu obietnic, o których wie, że ich nie dotrzyma.
10. Prawo do pielęgnowania w sobie nadziei i prowadzenia możliwie normalnego życia*.

By wspierać innych, trzeba samemu czuć wsparcie. Tylko opiekunowie rodzinni, wspierani w odpowiedni sposób, będą mogli zapewnić właściwą opiekę w domu swoim niesamodzielnym bliskim – zarówno dzieciom, jak i dorosłym – oraz być partnerami dla opiekunów formalnych.

* Prawa opracowano na podstawie Make Today Count, INC

Organizator kampanii

Hospicjum to też Życie
Fundacja Hospicyjna

XIV kampania społeczna „Hospicjum to też Życie"

Wejdź na **hospicja.pl**
i dowiedz się więcej

W NUMERZE:

HOSPICJUM OD ŚRODKA

2 KSIĄDZ EUGENIUSZ DUTKIEWICZ – OKRUCHY WSPOMNIEŃ

Z wielką serdecznością wspomina dr Ewa Śmigielska-Stolarczyk

3 KALENDARIUM ŻYCIA KS. EUGENIUSZA DUTKIEWICZA SAC

Pro memoriam

4 CO NAM ZOSTAŁO Z DUTKIEWICZA?

Refleksje laureatów pierwszej edycji Nagrody im ks. Eugeniusza Dutkiewicza SAC, na których hospicyjną formację ksiądz Eugeniusz wywarł znaczący wpływ

POROZMAWIAJMY

7 ŻAL MI NASZYCH WSPOMNIEŃ, BABCIU

Rozmowa z Karoliną Kramkowską opiekunem rodzinnym, a zarazem pedagogiem i autorką bloga „Opieka nad seniorami". Z XIV kampanią „Hospicjum to też Życie", poświęconą wsparciu opiekunów rodzinnych, w tle

10 JESTEŚCIE MI BARDZO BLISCY

Przyznaje Krystyna Przybylska, mama Ani Przybylskiej, która 3 lata temu umarła pod opieką Hospicjum ks. Dutkiewicza

WOLONTARIAT

12 POMAGAĆ NIE KAZANO

Portret Jerzego Szczepaniaka – żołnierza, pedagoga, wreszcie od 7 lat wolontariusza Hospicjum ks. Dutkiewicza

15 ONI NAM POMAGAJĄ

Prezentują się: gdańska Galeria Bałtycka i warszawski oddział Cushman&Wakefield. A my kłaniamy się nisko

Z ŻYCIEM NA TY

16 NA DOBRY POCZĄTEK REJS

Jak uczestniczki gdańskiego oddziału Akademii Walki z Rakiem popłynęły na dwudniowy rejs po Zatoce Gdańskiej i co z tego wynikło

19 GORĄCE LATO

Lato w Funduszu Dzieci Osieroconych zawsze jest gorące. Latem pracy zawsze jest huk

KSIĘGARNIA FUNDACJI HOSPICYJNEJ

20 MIŁKA I CZEKOLADOWY PRZYJACIEL

Nakładem wydawnictwa Fundacji Hospicyjnej ukazała się kolejna „Bajka Plasterek", opowiadanie „Za siódmą górą" Magdy Małkowskiej

„Co nam zostało z Dutkiewicza?" to motyw przewodni obecnego wydania, 11 września bowiem mija 15. rocznica śmierci ks. Eugeniusza i warto sobie uświadomić, jak odcisnął się w naszej pamięci i działaniu.

Jaki był, czym żył, co chciał nam przekazać i co z Jego filozofii w nas zostało staramy się pokazać poprzez fragmenty wspomnień przyjaciół księdza, ale także przez obecne działania zespołu Fundacji Hospicyjnej.

Rozmowy z Karoliną Kramkowską, autorką bloga „Opieka nad seniorami", oraz Krystyną Przybylską, mamą Anny Przybylskiej, przybliżają problemy opiekunów rodzinnych i mocno uzasadniają prowadzoną przez fundację kampanię społeczną na temat opiekunów nieformalnych, a spotkanie z wolontariuszem Jerzym Szczepaniakiem podpowiada, jak każdy z nas może im pomóc.

Mamy nadzieję, że z przywołanych obrazów, trochę jak z rozsypanych puzzli, wyłoni się obraz księdza Eugeniusza, sługi wiernego, z Jego gościną serca, łagodnością i otwartością na drugiego.

Odpowiedź na zadane we wstępie pytanie każdy z nas musi odnaleźć samodzielnie. Niezgoda na niemożność, bo zazwyczaj coś można, i na bylejakość, bo o to zadbać można zawsze, to dwa Dutkiewiczowskie drogowskazy, według których ja od lat staram się żyć.

A Ty, drogi Czytelniku?

Alicja Stolarczyk
REDAKTOR NACZELNA

FUNDACJA HOSPICYJNA
Hospicjum to też Życie

ISSN 1896-8678

WYDAWCA
Fundacja Hospicyjna
Organizacja Pożytku Publicznego
KRS 0000201002
80-208 Gdańsk, ul. Chodowieckiego 10
tel./faks: 58 345 90 60
e-mail: redakcja@hospicja.pl
www.hospicja.pl
www.fundacjahospicyjna.pl
Nr konta: 72 1540 1098 2001 5562 4727 0001

REDAKCJA
Redaktor naczelna: Alicja Stolarczyk
Sekretarz redakcji: Magda Małkowska
Zespół redakcyjny: Anna Janowicz, Aleksandra Kalita, Anna Kulka-Dolecka, Agnieszka Paczkowska, Olga Woźniak, Justyna Ziętek
Projekt: Mr. Bloom sp. z o.o.
Skład: Jacek Rembowski
Zdjęcie na okładce: Arkadiusz Wegner
Druk: Printrade
ul. Gerberowa 14, 83-010 Straszyn

PRENUMERATA — BEZPŁATNA
Zadzwoń pod nr 58 345 90 60

Redakcja nie odsyła niezamówionych materiałów i jednocześnie zastrzega sobie prawo do wprowadzenia zmian redakcyjnych w nadesłanych tekstach, w tym do ich skracania. Prawo do używania, kopiowania i rozpowszechniania materiałów dostępnych w „Hospicjum to też Życie" wraz z elementami graficznymi możliwe jest po uprzednim uzyskaniu zgody redakcji i jest obwarowane zastrzeżeniami wynikającymi z przepisów prawa autorskiego.

Ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz – okruchy wspomnień

Gdyby żył, w lipcu świętowalibyśmy Jego 70. rocznicę urodzin. Ksiądz Eugeniusz Dutkiewicz nie żyje jednak od 15 lat. Wielu z nas wciąż Go pamięta, ale wielu nawet nie poznało. Wprawdzie dzięki pozostawionym tekstom, w których chory człowiek stoi w centrum opiekującego się nim zespołu hospicyjnego, oraz rozmachowi ruchu paliatywno-hospicyjnego, jest dla nich wielkim autorytetem, to już z rozmazanymi konturami postaci. Jaki był ksiądz Dutkiewicz? Co lubił? Czym przyciągał do siebie ludzi? Wspomina dr Ewa Śmigielska-Stolarczyk.

Jaki był Ksiądz Eugeniusz? Gienek, bo mówiliśmy sobie po imieniu. Raczej wysoki. Wysoki i szczupły, najczęściej z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Od pierwszej chwili sprawiał sympatyczne wrażenie.

Chodził w sutannie?

Różnie. Kiedy gościliśmy Go u siebie w domu, przychodził „po cywilnemu". Chętnie jadł, chociaż w ogóle tego nie było po Nim widać. Bardzo lubił czekoladę. Potrafił jedząc kawałki czekolady, popijać je gorącą czekoladą z filiżanki. Lubił towarzystwo, bywał tu i tam, przychodził na spotkania, ale wychodził z nich po angielsku. Najczęściej nie siedział do końca.

Mówił swobodnie, spokojnie, ale przy tej swojej łagodności miał jasno sprecyzowane własne zdanie.

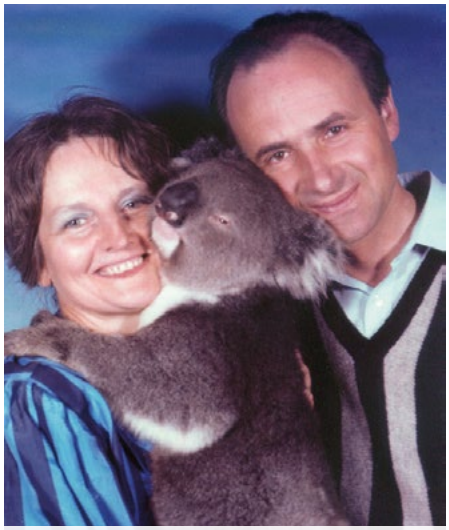

Fot.: Archiwum prywatne

E. Śmigielska-Stolarczyk, ks. E. Dutkiewicz i koala

W tamtym okresie byłam związana z ruchem oazowym, wówczas w polskim kościele czymś nowym i często krytykowanym. Prowadziłam grupę rozważającą fragmenty Pisma św. Któregoś dnia, kiedy Gienek do nas przyszedł i rozmawialiśmy o tym moim zaangażowaniu, okazało się, że on też był dość sceptyczny. Nie rozumiał, dlaczego dałam się w to wciągnąć. Kiedy jednak pokazałam mu materiały, na podstawie których prowadziłam spotkania, zmienił zdanie.

Potrafił być wspaniałym przyjacielem. Jacek Krenz, nasz wspólny znajomy, mówił, że Gienek „daje ludziom pożyć". Drugiemu zostawiał przestrzeń. Rozumiał, że człowiek świecki ma sporo swoich obowiązków i uważał, że one powinny być na pierwszym miejscu. Przy nim czuło się swobodnie.

Pamiętam naszą wspólną wyprawę do Australii. Któregoś dnia pobytu kupowałam dla wnuka maskotkę misia koala. Cena była bardzo wysoka i Gienek stanowczo zaprotestował. Chyba wydawało mu się absurdalne, by na zabawkę przeznaczyć tyle pieniędzy. Zaraz jednak wyszedł ze sklepu, by dalej nie okazywać mi swojej irytacji.

Był estetą, wystarczy popatrzeć na hospicjum i kościół Pallotynów przy ul. Curie-Skłodowskiej w Gdańsku. Przy czym nie chodziło tu o piękno dla samego piękna. Zawsze dążył do uzyskania efektu głębi. Na przykład chciał, aby kościół był jak Dom Chleba. Podstawę ołtarza utworzyły więc kłosy i nie tylko dlatego, że one są ładne. Również płaskorzeźby na ścianach przedstawiają ewangeliczne sceny związane z rozmnożeniem chleba i Siewcą. No i wszystko musiało być wykonane z porządnych materiałów. Nie lubił prowizorki, bylejakości. Miał swoje wyraźne wizje, wiedział, co i jak ma wyglądać. To czasami rodziło oczywiste konflikty z wykonawcami.

Kiedy myślę o Eugeniuszu, najbardziej brakuje mi Jego umiejętności niesienia pomocy ludziom zaplątanym życiowo. Bywało, że umawiałam z Gienkiem kogoś, kto znalazł się w trudnej życiowo sytuacji i wiedziałam, że będzie dobrze. Gienek był franciszkowy, umiał towarzyszyć ludziom pogubionym. Nie tak dawno spotkałam koleżankę, którą kiedyś poznałam z Gienkiem. I ona mi za to, po latach, podziękowała. To było dla niej przełomowe spotkanie. Poza Gienkiem kogoś z takim charyzmatem do ludzi „w poprzek", bo tak ich życie ustawiło, nie spotkałam.

W czym wyrażała się ta charyzma?

Eugeniusz absolutnie nie był formalistą. To mogło utrudniać pracę organizacyjną, ale w relacjach z drugim człowiekiem przełamywało błyskawicznie bariery. Nie pytał, czy ktoś żałuje, tylko słuchał, słuchał, słuchał. I na końcu mógł powiedzieć: „Wiesz, ty właściwie jesteś już po spowiedzi". Miał dar bycia z drugim człowiekiem naprawdę. W cierpieniu, w jego problemach i w jego radościach. Dużą grupą, dla której Jego dar słuchania miał wielkie znaczenie, był personel szpitala. Jego obecność na oddziale była ważna nie tylko dla pacjentów, ale i dla pielęgniarek.

A wszystko to miało swoje źródło w Jego głębokim związku z Chrystusem. Człowiek, który nie ma własnego głębokiego życia wewnętrznego, nie jest w stanie zejść w głębokości drugiego człowieka i pomóc mu. On je miał i On mógł.

notowała Magda Małkowska

Kalendarium życia ks. Eugeniusza Dutkiewicza SAC

Dzieciństwo i młodość (1947-1965)

1947 urodziny i chrzest Ryszarda Eugeniusza Dutkiewicza w Sianowie k. Koszalina

1954-1961 szkoła podstawowa w Sianowie

1956 Pierwsza komunia św. w parafii św. Stanisława Kostki w Sianowie

1960 bierzmowanie

1965 egzamin maturalny w Liceum im. S. Dubois w Koszalinie

Formacja kapłańska i zakonna (1965-1972)

1965-1966 nowicjat u księży pallotynów w Ząbkowicach Śląskich

1966-1972 Wyższe Seminarium Duchowne Pallotynów w Ołtarzewie k. Warszawy

1967 pierwsza profesja zakonna w SAC w Ołtarzewie

1970-1971 dziekan alumnów w Wyższym Seminarium Duchownym Pallotynów w Ołtarzewie

1971 wieczna profesja zakonna i święcenia diakonatu w Ołtarzewie

1972 święcenia kapłańskie w Ołtarzewie

Praca duszpasterska i studia specjalistyczne (1972-1976)

1972-1975 duszpasterz kaplicy M. B. Częstochowskiej i pomocnik kapelana szpitalnego w Gdańsku

1973-1975 zaoczne studia magisterskie na KUL-u w Lublinie

1975-1976 duszpasterz pallotyńskiego kościoła św. Elżbiety w Gdańsku

Praca kapelana i duszpasterza Akademii Medycznej (1976-1980)

1976-1980 kapelan szpitali klinicznych Akademii Medycznej w Gdańsku

1979 spotkanie z dame Cicely Saunders w Gdańsku

1980-1989 diecezjalny duszpasterz służby zdrowia i duszpasterz pielęgniarek

„Solidarność" i działalność w czasie stanu wojennego (1980-1983)

1982-1984 łącznik w strukturach podziemnej „Solidarności" i Komisji Krajowej (pseudonim „Chudy")

1982-1985 rektor pallotyńskiej wspólnoty w Gdańsku-Wrzeszczu i budowniczy kościoła

1983-1984 redaktor naczelny Duszpasterskiego Ośrodka Dokumentacji i Rozpowszechniania VIDEO

1983 inicjator pierwszego zespołu opieki domowej i ruchu hospicyjnego w Polsce

Twórca hospicjum domowego i proboszcz parafii (1984-1989)

1984-2002 dyrektor Hospicjum Pallotinum w Gdańsku

1985-1989 pierwszy proboszcz parafii M. B. Częstochowskiej w Gdańsku-Wrzeszczu

1987 współorganizator spotkania Ojca Świętego Jana Pawła II z Chorymi w Bazylice Mariackiej w Gdańsku

Krajowy Duszpasterz Hospicjów i założyciel OFRH (1989-1993)

1989-2002 pierwszy Krajowy Duszpasterz Hospicjów przy Konferencji Episkopatu Polski

1991-1993 założyciel i prezes zarządu ogólnopolskiego Forum Ruchu Hospicyjnego

1992-2002 dyrektor NZOZ Wojewódzkiego Ośrodka Opieki Hospicyjnej w Gdańsku

1993-2002 honorowy członek zarządu Ogólnopolskiego Ruchu Hospicyjnego

Doradca przy Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej (1993-2002)

1993-1997 doradca ds. opieki hospicyjnej przy Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej

1995-1997 nadzorca remontu domu dla sióstr i dla hospicjum domowego

1997-2002 inicjator i nadzorca budowy Domu Hospicyjnego w Gdańsku

Wychowawca (1999-2002)

1999 współorganizator ogólnopolskich warsztatów dla kapelanów służby zdrowia i hospicjów

2000-2001 współorganizator ożywienia ośrodka Duszpasterstwa Akademickiego

2001 współorganizator uroczystych obchodów Światowego Dnia Chorego w Gdańsku

2001-2002 wykładowca na zajęciach z medycyny pastoralnej dla studentów Wyższego Seminarium Duchownego w Gdańsku

Dom Hospicyjny im. ks. E. Dutkiewicza SAC (2003)

11.09. 2002 niespodziewana śmierć. Ks. Eugeniusz Dutkiewicz SAC zmarł w Gdańsku i tu został pochowany.

Dom Hospicyjny w Gdańsku, uroczyście poświęcony 11 lutego 2003 roku, nazwany został Jego imieniem. Jeszcze przed poświęceniem budynku, zgodnie z życzeniem ks. Eugeniusza, do Domu Hospicyjnego zaproszeni zostali chorzy. Pierwszy pacjent, Pan Mieczysław, umarł w dniu poświęcenia.

Co nam zostało z **Dutkiewicza?**

No właśnie, co? Przy okazji okrągłej rocznicy śmierci ks. Eugeniusza Dutkiewicza, ojca polskiego ruchu hospicyjnego, a zarazem patrona gdańskiego Hospicjum, postanowiliśmy przeprowadzić ankietę. Autorem wszystkich jej punktów jest sam ksiądz Eugeniusz, chociaż skompletowane i ułożone na kształt hospicyjnego Dekalogu zostały one przez zespół kwartalnika. O odpowiedź poprosiliśmy znakomitych przedstawicieli polskiego środowiska hospicyjnego, laureatów I edycji nagrody im. ks. Eugeniusza Dutkiewicza. Uczestnicy ankiety w kolejności alfabetycznej: mgr Roma Antonowicz, mgr Anna Kaptacz, ks. dr hab. Piotr Krakowiak, prof. UMK, mgr Janina Mirończuk, mgr Elżbieta Skowrońska, dr Jolanta Stokłosa oraz prof. dr n. med. Krystyna de Walden-Gałuszko.

1. To nie ma być wizyta towarzyska, lekarska lub pielęgniarska, to jest towarzyszenie cierpiącemu choremu.

Towarzyszenie pacjentowi i jego rodzinie to cel interdyscyplinarnego zespołu opieki paliatywnej (…). Nie oznacza to, że mamy być przez ten czas w domu pacjenta, ale musimy i chcemy być w gotowości do odebrania telefonu i udzielenia wyczerpującej porady telefonicznej. Jeśli to nie wystarczy, jedziemy do pacjenta i podejmujemy odpowiednie działanie w zależności od występujących objawów, problemów, potrzeb. Jeżeli nasze umiejętności są niewystarczające, to zwracamy się o pomoc do innego członka zespołu. To nie może być tylko badanie fizykalne i zaordynowanie leków czy wykonanie opatrunku, toalety przeciwodleżynowej, iniekcji lub udzielenie porady psychologicznej – to podejmowanie rozmowy, aktywne słuchanie, otwartość i „duchowe obejmowanie" pacjenta.

Anna Kaptacz

W pierwszych latach ruchu hospicyjnego zwracano bardzo uwagę na przekazanie wolontariuszom, a później pracownikom i wolontariuszom, że najważniejszym, oprócz uśmierzenia bólu i innych trudnych do opanowania objawów pojawiających się w ostatnim okresie życia chorego, jest towarzyszenie, czyli służenie choremu, uważne słuchanie i zapewnienie go o tym, że nie będzie sam, że będziemy z nim w chorobie i w przejściu do wieczności. Sądzę, że w wielu hospicjach towarzyszenie, o którym mówił i pisał ksiądz Eugeniusz, nadal jest realizowane.

Jolanta Stokłosa

2. Nikt z tego zespołu nie umiałby pomóc sam, dopiero różnorodność osób: ich przygotowania, osobowości, profesji i wyznawanej filozofii potrafi zaspokoić potrzeby chorego.

Prawda powyższa jest nadal jedną z zasad spełniania opieki hospicyjnej. Jest przekazywana na kursach i szkoleniach z opieki i medycyny paliatywnej.

Jolanta Stokłosa

Autorka grafiki: Irena Kuran-Bogucka

Miłosierny Samarytanin

Miałem przywilej obserwować pracę księdza Eugeniusza. Przed pójściem do nowego chorego zawsze wypytywał o szczegóły lekarza i pielęgniarkę oraz wolontariuszy z zespołu. Tak samo robił ks. Jan Kaczkowski, który – choć w innym stylu – często opierał się na wiedzy z opieki zebranej przez Jego zespół. Lekarz, pielęgniarka, ksiądz, pracownik socjalny, psycholog, wolontariusz czy rehabilitant – nikt z nich nie pozjadał wszystkich mądrości. Każdy człowiek widzi problemy chorego i jego bliskich poprzez swoją perspektywę pomocy czy osobiste problemy, a to nie pomaga w stworzeniu optymalnej opieki. Dobra opieka wymaga trudu spotkań i rozmów w zespole. (…)

ks. Piotr Krakowiak

(…) Interdyscyplinarność może zapewnić zespół składający się z lekarzy, pielęgniarek, psychologów, fizjoterapeutów, kapłanów, pracowników socjalnych, terapeutów zajęciowych i wolontariuszy różnych zawodów. Tylko taki zespół, który potrafi dobrze komunikować się z pacjentem i jego rodziną oraz między sobą, może spełnić oczekiwania osoby zbliżającej się do kresu życia z powodu przewlekłej, niepoddającej się leczeniu przyczynowemu choroby. (…) Poprzez wspólne działania (…)dajemy choremu i jego rodzinie nadzieję, dobro, miłość oraz poprawiamy jakość życia.

Anna Kaptacz

3. Znakiem hospicyjnego wiatyku są nasze dłonie – umierający musi je znać i ufać, że jesteśmy.

Pacjent umierający nie powinien pozostawać sam. Nie może leżeć w izolatce za zamkniętymi drzwiami, które czasem ktoś z personelu uchyli by sprawdzić, czy jeszcze oddycha i czy nie skończyła się kroplówka podłączona tylko w tym celu, żeby pozorować działania medyczne. Pacjent umierający potrzebuje drugiego człowieka, który mu towarzyszy, siedząc przy łóżku i trzymając go za rękę, bo chce czuć ciepło dotykającej go dłoni. (…) Miłość jest nam potrzebna na każdym etapie życia, a szczególnie wtedy, gdy jesteśmy słabi i bezbronni. (…)

Anna Kaptacz

4. Hospicjum, poprzez swoją formę działania, chce takim wartościom, jak godność osoby cierpiącej i jak służba człowiekowi przywrócić należne i właściwe miejsce w medycynie.

Opieka paliatywna i hospicyjna stara się uczynić wszystko, aby chory mógł godnie żyć do naturalnej śmierci. (…) Słowo „służba" jest obecnie niepopularne i znika z nauk medycznych. Powinniśmy starać się przywrócić je w opiece nad chorym. „Służyć" – od razu mówimy tym słowem, że jesteśmy dla chorego, ofiarowujemy siebie i swoją wiedzę. Jesteśmy przyjacielem i podporą w trudnym czasie dla niego.

Jolanta Stokłosa

5. Wejść w przestrzeń człowieka cierpiącego. Prawda wymaga miłości, miłość wymaga wspólnej drogi.

(…) Czas oczekiwania na prawo wejścia w przestrzeń chorego to czas trwania przy chorym. A trwanie to długa droga, podczas której chory odczuje, że podstawą twojego trwania jest Miłość. Rzeczywiste uczucie, które unaoczniło się, gdy będąc głęboko samotnym, twoje towarzyszenie złagodziło jego lęk i poczucie osamotnienia. Wtedy masz prawo stanąć przed nim z wyciągniętymi dłońmi, gdzie na jednej masz Miłość, a na drugiej Prawdę.

„Prawdziwy hospicjant staje się świadectwem istnienia i Miłości Boga. Niezwykła to misja" (E.D.)

W tej prawdzie znajdziesz w sobie moc do jej przekazania, a umierający do jej odebrania. Będzie to prawda o zbliżającej śmierci, o jej nieuchronności, o możliwości spokojnego odejścia w twoich ramionach, o czekającym na Niego Najmiłosierniejszym. Hanna Chrzanowska, jedna z założycielek krakowskiego Hospicjum (proces beat. 1998), wskazuje wielokroć na niesłuszność postawy nawracania umierających, ani delikatnie ani nachalnie, jedynie własną postawą. (…)

Roma Antonowicz

Wejście w przestrzeń chorego człowieka wymaga przede wszystkim pokory. Oczywiście jesteśmy przygotowani do naszej pracy, mamy kompetencje, ale to człowiek chory wie najlepiej, co jemu jest potrzebne. Nie wolno nam niczego narzucać. Ten człowiek kończy życie, i ma prawo tę końcówkę przeżyć tak jak chce. Ważna jest też dobra komunikacja w zespole. I wymiana informacji.

Fot.: Archiwum FH

Z ks. E. Klimińskim podczas budowy kościoła

Każdy człowiek zespołu jest tak samo ważny, nawet ten o niższych kompetencjach. Znowu ta pokora.

Elżbieta Skowrońska

6. Uszanowanie godności wyraża się nie tylko w dostrzeżeniu cierpień człowieka przez otoczenie, ale także w umożliwieniu mu odkrycia przez samego siebie takich duchowych przestrzeni, które staną się źródłem jego nowej wartości.

(…) Człowiek ciężko chory, zależny od innych, bardzo źle przeżywa swoją sytuację, często czuje się ciężarem dla otoczenia, co przekłada się na jego bardzo niską samoocenę. Z drugiej strony panujący powszechnie kult konsumpcjonizmu, sprawności i sukcesu przyczynia się do lekceważącego stosunku otoczenia do chorego „generującego" koszta opieki. Podstawowym zadaniem pracownika hospicjum jest przywrócenie szacunku dla chorych i ich godności, nie tylko poprzez edukację nastawioną na zmianę postaw otoczenia, lecz także obronę poczucia godności w samych chorych. Przywrócenie im przekonania o ich niepowtarzalnej wartości.

Krystyna de Walden-Gałuszko

7. Oczywiście w ruchu hospicyjnym muszą powstawać coraz sprawniejsze formy opieki, a także różne modele pracy. Trzeba się jednak zastanowić, jak w te organizacyjne struktury wlać niepowtarzalne poświęcenie, które wielokrotnie widzę u naszych hospicjantów.

(…) Najpiękniej tego „hospicyjnego ducha" wyczuwałem wśród hospicyjnych wolontariuszy. (…) Warunkiem jest jednak przyjęcie tych, którzy chcą ofiarować swój czas i energię dla umierających, ich bliskich i wszystkich opiekunów. Kiedy brakuje tej otwartości, możemy mówić jedynie o zespole utytułowanych specjalistów. (…)

ks. Piotr Krakowiak

Pamiętam słowa ks. Egeniusza mówiącego o świętości ludzi posługujących ciężko chorym. Oni są święci przez swoją posługę. Hospicjum daje nam przestrzeń do bycia świętymi.

Janina Mirończuk

8. Chory szuka dla siebie przestrzeni, w której mógłby się porozumieć z otoczeniem. Tej przestrzeni nie tworzy żadna instytucja, ale ludzie, którzy umieją czytać słowa i gesty chorych.

Są różne przestrzenie kontaktów między ludźmi. Istnieje poziom podstawowy, powszechnie znany, który z relacji z chorym wyraża się zainteresowaniem jego podstawowymi potrzebami zapewniającymi mu głównie komfort fizyczny (klasyczne pytanie o samopoczucie, ból itp.). Poziom drugi (…) to rozmowa o uczuciach, problemach z ludźmi czy innych potrzebach chorych, którym można w mniejszym lub większym stopniu zaradzić. Poziom najwyższy, nie zawsze osiągalny – wywodzi się z tego, co w człowieku najgłębsze. Czasem mówimy o „nadawaniu na tej samej fali". Na tym poziomie pojawia się możliwość wzajemnego przekazania sobie duchowych doświadczeń. Ks. Eugeniusz określał ten proces swoim ulubionym zadaniem: „wyjedź na głębię".

Krystyna de Walden-Gałuszko

(…) Tworzyć przestrzeń dla umierającego to dać mu miejsce w swoim życiu i sercu. Otworzyć się najpierw samemu przed nim, by ułatwić porozumienie. Relacja przyjacielska pomiędzy lekarzem a pacjentem ma stworzyć równowagę pomiędzy kompetencją lekarza a wolą pacjenta jako osoby – z jej duchowością i światem wartości. „W tej współpracy odgrywa role nie autorytet lekarza, lecz zaufanie i zawierzenie chorego, które pojawia się, gdy lekarz leczy chorego a nie jego chorobę" (E.D.). (…)

Roma Antonowicz

(…) W pismach i kazaniach ks. Dutkiewicza dom, stół, wspólnota rodzinna i jej ciepło były zawsze bardzo ważne. Jestem przekonany, że to jedna z wartości, którą on wniósł swoim niestrudzonym nauczaniem zespołów hospicyjnych, wizytami we wszystkich Wyższych Seminariach Duchownych w Polsce i licznymi seriami rekolekcji dla rodzin hospicyjnych z całego kraju. Pomimo upływu lat to trafnie ujęte w drogowskazach ks. Eugeniusza napięcie: instytucja-człowiek jest nadal istotą hospicyjnych wyzwań u nas i na całym świecie.

ks. Piotr Krakowiak

9. Medycyna hospicyjna kształtuje nowe postawy i sposoby bycia przy umierającym, a co najważniejsze – stawia wysoki próg wymagań dotyczących wewnętrznej kultury.

(…) Nie jest to ani proste, ani łatwe zostawić za drzwiami chorego pośpiech, własne nabrzmiałe sprawy, problemy zawodowe, rodzinne, spadkowe, samochód u mechanika, niespłacony kredyt itp., itd. Sprawy tak dalekie Bogu i chorym. Mam jedno swoje życie, swoje sprawy, swój dom, dzieci, męża i konto. Masz? To siedź przy tym wszystkim i pilnuj. Tylko nie mów, że jesteś hospicjantem czy hospicjaninem, jak mówiono u progu ruchu hospicyjnego. (…)

Służba drugiemu człowiekowi wpisana jest w człowieczeństwo. Wewnętrzna kultura hospicjanta w tej służbie jest zaprzeczeniem szerzącego się egoizmu, braku szacunku dla słabości i starości. Opieka hospicyjna powinna być znakiem sprzeciwu wobec zinstytucjonalizowanych kontaktów z chorymi. Powinna być protestem przeciwko traktowaniu chorych jako przypadku, który nie ma nic do powiedzenia w sprawie swojego leczenia i życia. Nie ma dobrej śmierci, jest tylko śmierć zaopiekowana (E. D). (…)

Roma Antonowicz

(…) Godność osobowa jest wartością indywidualną wypracowaną w ciągu życia. Szacunek dla tak pojętej godności człowieka chorego w medycynie oznacza poszanowanie jego prawa do otrzymywania informacji i realizacji autonomicznie podjętych decyzji. Oznacza także szacunek dla prywatności, intymności, tajemnicy i lojalności. Pojęcie prywatności wiąże się z zachowaniem równowagi pomiędzy potrzebą bliskości a potrzebą samotności, którą także należy zagwarantować. (…)

Krystyna de Walden-Gałuszko

10. Ale to wszystko jest „do czasu", bo gdy śmierć będzie miała twoje oczy, zrozumiesz, co napisałem. A na dzisiaj – ile sił i ducha w sercu stanie – chrońmy chorych i siebie w naszych hospicjach przed „rynkiem usług".

Ks. Eugeniusz Dutkiewicz przestrzegał przed „świadczeniodawcami" i „świadczeniobiorcami". Czas pokazał, że miał rację. Nie można wszystkiego robić wolontaryjnie, ale patrzenie na ciężko chorego człowieka, towarzyszenie mu w tej trudnej drodze życia będzie właściwe, jeśli drogowskazem będzie miłość.

Janina Mirończuk

Często wykonujemy różne usługi przy chorym, ale sformułowanie „rynek usług" bardzo nie pasuje do rzeczywistości hospicyjnej. Na rynku im więcej tym lepiej, a w hospicjum tym lepiej im głębiej. Istotna jest obecność, towarzyszenie choremu, zarówno podczas wykonywania przy nim jakiejś czynności, jak i wtedy, kiedy „nie ma czym zająć rąk". To są być może wizyty najtrudniejsze. Musimy być bystrymi obserwatorami, wyczulonymi na moment, kiedy pacjent się otwiera i potrafiącymi poskromić w sobie chęć pośpiechu. Boję się, że ludzie bez odpowiedniej formacji hospicyjnej kusi praca na akord. Na wszystkich, którzy znali ks. Dutkiewicza, spada więc obowiązek przekazania nowemu pokoleniu hospicjantów jak najwięcej z duchowości tej pracy.

Elżbieta Skowrońska

Fot.: Archiwum FH

Podczas papieskiej mszy św. za chorych w Bazylice Mariackiej, 1988 r.

Żal mi **naszych wspomnień**, babciu

Karolina Kramkowska ma trzydzieści jeden lat i gruntowne humanistyczne wykształcenie. Jest pedagogiem, filozofem i pisze doktorat. Los chciał, by swoje zawodowe zainteresowania, związane z opieką nad osobami starszymi z demencją, odnalazła we własnej rodzinie. Karolina jest opiekunką wspierającą rodziców w towarzyszeniu jej babci z chorobą Alzheimera. Po godzinach prowadzi poradnikowy blog „Opieka nad seniorami".

NA POMOC OPIEKUNOM PO RAZ KOLEJNY

Już po raz drugi Fundacja Hospicyjna poświęci ogólnopolską kampanię „Hospicjum to też Życie" opiekunom rodzinnym osób chorych, niepełnosprawnych, zarówno w podeszłym wieku jak i dzieci. Poprzez możliwe środki przekazu będziemy przypominać o obciążeniach wynikających ze sprawowania opieki w domu, szczególnie tej długotrwałej, i o potrzebie zapewnienia systemowej pomocy. Będziemy też zachęcać lokalne społeczności do tworzenia sieci wsparcia opartych na zwykłej ludzkiej wrażliwości. Jej całe pokłady są w naszym społeczeństwie do odkrycia, m.in. na rzecz takich osób jak Karolina, która podzieliła się z nami swoją osobistą historią.

Nasi bliscy pamiętają za nas

Fot.: Archiwum FH

Od jak dawna Twoja babcia wymaga stałej opieki?

Trudno mi dokładnie określić ten czas, ale myślę, że to już blisko 3 lata. Mówię o rodzicach, bo ja nie jestem codziennym opiekunem, a tylko jeśli zaistnieje taka potrzeba. Oczywiście kiedy mogę, przyjeżdżam do rodzinnego domu. Latem jestem z babcią przez 2 tygodnie, żeby rodzice mogli choć trochę odpocząć.

Na czym polega codzienna opieka nad babcią? Czy cały czas ktoś musi z nią być?

Babcia jest osobą chodzącą, kontakt słowy z nią jest zachowany, ale logiczny nie zawsze, więc opieka ma typowy charakter dla osób chodzących z demencją. Obejmuje pomoc przy wszystkich tzw. czynnościach samoobsługowych oraz nadzór nad jej bezpieczeństwem. Babcia sama się ubierze, ale trzeba ją poinstruować, sama zje, ale danie musi mieć gotowe i rodzice muszą dopilnować, by je zjadła. W związku z zaburzeniami czasu i kojarzenia nie ma możliwości, by babcia została sama chociaż pół dnia. Nie będzie wiedziała, że ma zjeść, nie ma gwarancji, że nie będzie podejmowała ryzykownych zachowań i nie zrobi sobie krzywdy. Rodzice są z babcią całe dnie, dbają o nią we wszystkich aspektach, nie tylko tych biologicznych, ale przede wszystkim żeby godnie i możliwie bezstresowo przeżyła swoją starość w domu, wśród bliskich. To samo dotyczy mnie. Kiedy jestem z babcią, staram się opiekować nią możliwie najlepiej, najpełniej, ale zgodnie z tymi zasadami, które już rodzice wypracowali. Nie chcę wprowadzać dodatkowych bodźców, zmian, niczego, co zburzy dotychczasową harmonię i poczucie bezpieczeństwa babci ani planu opieki rodziców.

Dla wielu opiekunów bardzo trudny do zaakceptowania jest fakt, że jest to opieka wieloletnia, dzień po dniu, godzina po godzinie z chorym.

Do opieki nad osobą starszą masz przygotowanie zawodowe. Wiesz, jak zareagować, jak wykonywać pewne czynności… Ale pewnie ono nie wystarcza?

Zdecydowanie samo przygotowanie nie wystarczy. Bardzo pomaga, bo np. przełamuje pewne bariery przy kąpaniu osoby bliskiej, pomocy w toalecie, a to wobec członków rodziny bywa trudne. Wiem, jak prawidłowo reagować na agresję słowną czy na niechęć do jedzenia. Jest mi z pewnością łatwiej, bo na pewne objawy choroby mogę się nastawić, ale nie pomaga poradzić sobie z emocjami, które w sobie mam, kiedy one się pojawiają.

Co jest najtrudniejsze?

Myślę, że dla wielu opiekunów, w tym też dla moich rodziców, bardzo trudny do zaakceptowania jest fakt, że jest to opieka wieloletnia, dzień po dniu, godzina po godzinie z chorym. To przewraca życie do góry nogami, z czasem bardzo męczy psychicznie, nawet jeśli się tę bliską osobę kocha i chce dla niej dobrze. Dla mnie osobiście najtrudniejsze są odmienne stany świadomości babci. Mam na myśli, że babcia nie wie, kim jestem. Czasem kojarzy Karolinę, ale mi mówi, że to nie ta, o którą jej chodzi. Sądzę, że szczątkowo pamięta mnie z dzieciństwa, ale nie łączy mnie z tą Karoliną, o której czasem myśli. Niekiedy mówi mi, że Karolina się nawet nie odezwie, nie zadzwoni. To bardzo przykre, że ona tak to czuje. To samo dotyczy mojego pobytu – możemy być razem tydzień, a kiedy wyjeżdżam, mówi, że jej przykro, bo nie zostanę nawet na jeden dzień i z nią nie pobędę, a ona na mnie czekała. Czasem tak się dzieje, nawet jeśli nie do końca wie, kim jestem, ale powtarza, że czekała… To bardzo przykre, ponieważ ona faktycznie tak czuje, jest przekonana, że nie chcę z nią być.

Opieka uderza w rodziny, bo małżeństwa nie mają czasu dla siebie, rodzice nie mają czasu dla dzieci i po latach takiej walki okazuje się, że rodziny nie ma.

Najbardziej bałam się momentu, kiedy nie będzie mnie kojarzyła. Relacje z ludźmi to wspólne obszary życia, wspomnienia, a ona nie ma ich już ze mną. Czasem nawet mówi, że mnie nie znała, jak byłam mała albo że niedawno mnie poznała. Ja natomiast mam ogrom wspomnień, całe moje dzieciństwo jest z nią związane, bo mieszkała obok i była u nas codziennie. Towarzyszyła mi dzień po dniu w moim dzieciństwie, dorastaniu, dorosłości i nagle cisza… Jakby tego nigdy nie było.

Ci chorzy jak i ich rodziny są w naszym kraju przezroczyści.

Niełatwo jest żyć ze świadomością, że nie będzie poprawy…

Myślę, że to trudne jak każda choroba przewlekła, która jest drogą w jedną stronę. Jak każda choroba, która dotyka bliską osobę. Bardzo trudno się w tym emocjonalnie odnaleźć, bo ktoś nadal jest, ale jakby go nie było. Nie ma wspólnych tematów, nie ma wspomnień, nie ma żadnych odniesień adekwatnych dla obojga. Moja babcia kiedyś żartowała, że jak się doczeka wnuków ode mnie, będzie mogła umierać. Ja nie mam dzieci i śmieję się, że to dla babci, a tak poważnie w kontekście tego o czym mówimy, ja nigdy, nawet jeśli będę te dzieci miała, nie będę mogła się z nią tym podzielić tak prawdziwie. Kiedy z kimś dorastamy, czy są to nasi rodzice, czy dziadkowie, jest w nas potrzeba dzielenia się naszym życiem, pokazania owoców tego, jak nas wychowali, jak sobie radzimy. Babcia jest i zawsze była dla mnie bardzo ważna, i mogę jej dziś powiedzieć, co u mnie w życiu się dzieje, ale ona nie wie, o kim i o czym mówię. Jest i jednocześnie jej nie ma. Pytałaś, jak praca zawodowa pomaga, a to o czym mówię teraz, jest odpowiedzią, w jakich obszarach nie pomaga, a raczej nie wystarcza. Być może są opiekunowie zawodowi umiejący być tak profesjonalnymi wobec członków rodziny jak wobec osób, które spotykają zawodowo, ja niestety nie.

POMOC POTRZEBNA OD ZARAZ

Budowanie sieci wsparcia, zarówno tych systemowych, opartych na rozwiązaniach formalnych, jak i tych nieformalnych, działających w ramach lokalnych wspólnot, to projekt na lata. Dlatego organizacja kolejnej kampanii na ten temat jest cały czas początkiem drogi. Opiekunów rodzinnych borykających się ze swoim losem czasami nie dostrzegamy, nawet tych mieszkających blisko nas. Może dlatego, że nie zawsze choroba jest widoczna, nie zawsze wiąże się z niepełnosprawnością fizyczną i przykuwa do łóżka. Za to często przewraca życie – i chorego, i jego bliskich. Na kogo wówczas mogą liczyć? Zapytałam o to Karolinę:

Na jaką pomoc mogą liczyć opiekunowie osób z chorobami demencyjnymi?

W teorii wsparcie jest szerokie, wieloaspektowe. Są centra dla osób z demencją i ich opiekunów, chorych obejmują założeniach finansowania NFZ dla opieki długoterminowej i paliatywnej, działają grupy wsparcia… Realnie, jeśli szuka się pomocy, można odbić się od przysłowiowych drzwi. Mówię to też z perspektywy pracy z chorymi w środowisku domowym. Przykładem jest moja babcia. Kiedy policzy się jej skalę Barthel (przyp. red.: międzynarodowa skala oceny sprawności chorego), jest okazem zdrowia, a pielęgniarka środowiskowa czy opieki długoterminowej nie ma co robić. Na zajęcia do DDPS się nie nadaje, bo jest niesamodzielna. Paradoksalnie, w polskim systemie lepiej być osobą leżącą z demencją niż chodzącą. Lepiej dla rodziny, bo wówczas ma ona jakiekolwiek wsparcie i ktoś z zewnątrz przyjdzie do domu.

Kolejna kwestia to centra opieki i wsparcia dla rodzin. Cieszę się niezmiernie, że są inicjatywy pozarządowe, fundacje, stowarzyszenia, a w pracy zawodowej poznałam bardzo wiele opiekunek, pielęgniarek, pracowników socjalnych, którzy po godzinach, wolontaryjnie pomagają rodzinom, zwłaszcza tym zupełnie niezorientowanym w opiece. Jednak to nadal nie jest system opieki dla osób z demencją i ich rodzin. To pojedynczy ludzie z wielkim serduchem, którym nie jest obojętne, co dzieje się z „ich" chorym. Nie tak to powinno wyglądać – to powinien być zwarty, holistyczny system wsparcia. Korzystanie z pomocy to też czasem problem czysto techniczny, bo gdy opiekun chciałby pójść na przeznaczone dla niego spotkanie, to co w tym czasie z chorym? Nie ma możliwości, żeby

wyjść na spotkanie, kiedy w domu jest tylko jeden opiekun. Znam dużo ciekawych inicjatyw dla osób z demencją i ich rodzin i, jeśli tylko mogę, promuję je, ale jeśli opiekun sprawuje opiekę przez lata bez przygotowania, bez wsparcia, wypalony, zmęczony, między pracą a domem, to kiedy ma wolną chwilę, marzy żeby spać, a nie się spotykać z kimkolwiek.

Opieka uderza w rodziny, bo małżeństwa nie mają czasu dla siebie, rodzice nie mają czasu dla dzieci i po latach takiej walki okazuje się, że rodziny nie ma. Ja jestem za opieką domową, zdecydowanie. Jeśli tylko jest to możliwe, to niech chory zostanie w domu, ale to nie może być heroiczna walka rodziny. Jak wskazują badania, w zależności od grupy badawczej ponad 95% chorych z demencją od diagnozy po zgon przebywa w domu. Pozostałymi 5% opiekują się DPS-y, ZOL-e, szpitale… Śmiało można mówić, że 9 z 10 chorych nigdy nie wyjdzie z domu i to ich rodziny będą walczyć o każdy ich godny dzień, a zarówno ci chorzy jak i ich rodziny są w naszym kraju przezroczyści, jakby ich nie było.

Wspólnych wspomnień czar

Fot.: Archiwum FH

Jakiej pomocy najbardziej potrzebujesz?

Ja chyba nie potrzebuję pomocy jako ja, ale w imieniu opiekunów rodzinnych z pewnością można mówić o potrzebie edukacji w chorobie. Wielu z nich dowiaduje się przypadkiem, półsłowem o tym, że ich bliski ma demencję czy chorobę Alzheimera, ale brakuje uświadomienia, co się będzie z nim dalej działo. Widać to po moim blogu (www.opiekanadseniorami.blogspot.com), kiedy opiekunowie w wiadomościach prywatnych pytają np. o to, jak nakarmić chorego, co zrobić, kiedy nie chce pić, jak go umyć. Oczywiście można by tu liczyć na opiekę pielęgniarki środowiskowej, ale praktyka pokazuje, że często nawet osoby, które opiekują się chorym z założoną sondą, nie mają wiedzy, jak karmić i nie otrzymują dostatecznego wsparcia środowiskowego.

Wszystkim opiekunom rodzinnym radziłabym wyjść z cienia.

Kolejną potrzebą jest opieka wytchnieniowa, czyli pomoc opiekunek domowych, przychodzących na koszt państwa, nie tylko tych prywatnych, na które wiele rodzin zwyczajnie nie stać. Poza tym duża grupa opiekunek nie ma kwalifikacji i same nie wiedzą, jak postępować z chorym z demencją. W Polsce wciąż nie jest w pełni uregulowane, kto i na jakich zasadach może być opiekunem. Dla wielu rodzin ważne byłoby też wsparcie finansowe, ponieważ często, ze względu na opiekę nad chorym, jedna z osób rezygnuje z pracy i posiadane środki finansowe nie są wystarczające. Pamiętajmy, że opieka, zwłaszcza nad osobą leżącą, jest bardzo kosztowna. Naszą nadrzędną potrzebą jest potrzeba bycia zauważonym.

Byłaś przez jakiś czas w Anglii. Co przeniosłabyś z tamtego systemu opieki do Polski?

Przede wszystkim to, że ten system opieki jest, że opiekun ma wsparcie, że chory ma wsparcie. U nas niejednokrotnie serce się kraje, gdy widzisz dwoje starszych ludzi opiekujących się sobą wzajemnie. Oboje chorzy, często zaniedbani i niedożywieni, nie stać ich na opiekę prywatną i sami walczą z chorobą. W Wielkiej Brytanii są środki na opiekę, nie ma możliwości, żeby ktoś został sam. Firmy opiekuńcze zatrudniają wykwalifikowane opiekunki, jest nad nimi nadzór, prowadzona jest dokumentacja chorego. Nie jest to „praca na dziko z ogłoszenia", bo ktoś z dnia na dzień chce pracować w tym zawodzie. Z pewnością warta przeniesienia jest też opieka wytchnieniowa – czyli taka, gdy np. na tydzień lub dwa rodzina może zostawić chorego pod profesjonalną opieką w domu lub w odpowiednio przygotowanej placówce i wypocząć. Może także liczyć na pomoc w domu, w codziennych czynnościach pielęgnacyjnych i opiekuńczych. To są rzeczy, które niezwykle odciążają rodzinę. Profesjonalny opiekun przychodzący do domu zwiększa jej poczucie bezpieczeństwa.

OPIEKUN RODZINNY – NIE MUSI BYĆ SAM

To hasło tegorocznej kampanii, w ramach której odbędą się między innymi warsztaty dla opiekunów rodzinnych. Będziemy również kontynuowali projekt rozwoju lokalnego wolontariatu opiekuńczego. W ten sposób chcemy zapewnić opiekunom dostęp do praktycznej wiedzy na temat sprawowania opieki w domu oraz pomoc wolontariuszy, odpowiednio przygotowanych do swojej roli. Chcemy także nadal promować prawa opiekunów, o których wspomina też Karolina:

Wszystkim opiekunom rodzinnym radziłabym wyjść z cienia, zrezygnować z przekonania, że osoba chora w domu to temat tabu, natomiast otworzyć się na dzielenie problemem i szukanie pomocy. Nie bać się tego. Jest w nas, opiekunach, potrzeba udowadniania, że świetnie sobie radzimy, ale po latach opieki kończy się to wypaleniem. Kiedy potrzebujemy pomocy, prośmy o nią. Pamiętajmy, że choroby demencyjnej nie wyleczymy i mimo największych starań i serca włożonego w opiekę, stan chorego się nie polepszy. Dlatego ważne, by nie poddać się poczuciu bezsensowności własnych starań. Czasem nie możemy już nic zrobić, by poprawić stan zdrowia podopiecznego, ale mimo to robimy coś bardzo ważnego – jesteśmy z nim, kochamy i dajemy mu bezpieczeństwo oraz opiekę.

Rozmawiała i opatrzyła komentarzem Anna Janowicz, koordynatorka XIV kampanii „Hospicjum to też Życie"

Fot.: Maurycy Śmierzchalski

Krystyna Przybylska

Jesteście mi **bardzo bliscy**

Najpierw spotkałyśmy się w Hospicjum. Po blisko 3 latach od śmierci Ani przyjechała tu po raz pierwszy i po raz pierwszy weszła do pokoju, w którym Jej córka spędziła parę dni. Krystyna Przybylska, mama Ani Przybylskiej, która w październiku 2014 roku zmarła na nowotwór, będąc pod opieką Hospicjum im. ks. Dutkiewicza, na rozmowę zgodziła się bez wahania. Chociaż i wtedy, i kilka tygodni później, już w Jej mieszkaniu na gdyńskim Obłużu nie kryłam, że rozmawiać będziemy o śmierci i o żałobie. Od razu usłyszałam, że żałoba po Ani nie skończy się nigdy.

Damy radę?

Damy radę.

A w ogóle Pani daje radę?

Jest ciężko, ale muszę. Po pierwsze mam dla kogo żyć. Jest druga córka Agnieszka, mąż, siostra, siostrzeniec, przede wszystkim jednak są wnuki.

Jak wygląda życie po życiu Ani?

Trochę pracuję na umowę o dzieło, jestem między ludźmi. Ciągle się czymś zajmuję. A poza tym zawsze miałam duszę społecznika, tak mnie wychowano. Od wczesnej młodości miałam świadomość, że dzisiaj może i jest dobrze, ale jutro tak być nie musi. Pomoc drugiemu człowiekowi była częścią mojego życia, a teraz wypełnia mi pustkę. Pomagając innym pomagam sobie, to jest moja autoterapia. Chociaż tak naprawdę nic i nikt nie jest w stanie zastąpić mi zmarłej córki.

Wnuki nie zastępują, ale wypełniają brakujące miejsce.

Tak, wnuki dają zajęcie. Wciąż coś planujemy, gdzieś wyjeżdżamy. Organizacja sportowych zajęć, wyjścia do kina, wspólne gry, jest co robić. Często u nich jestem, chociaż proszę wierzyć, czasami ciężko jest mi tam iść. W tym domu Ania spędziła swoje ostatnie miesiące życia.

Ile wnuki mają lat?

Oliwka ma 15, Szymek – 11, a Janek idzie zerówki, skończył 6 lat.

To są trzy różne światy.

Wiekowo i z charakteru. Każde jest inne, ale są bardzo za sobą. Jest jeszcze Miłosz, syn starszej córki Agnieszki, to razem już cała gromadka.

Pytają się o mamę?

Tak, często o niej rozmawiamy, z każdym trochę inaczej, najczęściej na wesoło. Oliwia bardzo mi przypomina Anię, zwłaszcza kiedy się denerwuje. Dopytuje się, jaka mama była. Kiedyś mi powiedziała: „Babciu, jaką masz gładką skórę. I pachniesz moją mamą". Powiedziałam jej wtedy, że ona pachnie moją córką. O, tak sobie rozmawiamy. Podobnie Szymon, który był do Ani niezwykle przywiązany. Jaś też kojarzy, zauważa, że mam jej zdjęcie w telefonie. W jego główce także coś zostało.

Odtwarzamy wspólne nagrania, filmy, są zdjęcia, cały dom obwieszony jest zdjęciami. Chodzimy razem na cmentarz, ale tam ich zostawiam samych, kilka grobów dalej leży mój szwagier. Widzę, jak trzymają się za ręce i pewnie jakoś im wtedy lepiej. Wiem, że bardzo za mamą tęsknią, chociaż tego nie pokazują. Często czuję, że chcieliby się do niej przytulić.

W hospicjum spotkaliśmy się z nieprawdopodobną życzliwością pielęgniarek, lekarzy, całego personelu, ale i wolontariuszy. To są niezwykli ludzie, chylę przed nimi czoła.

Albo z nią pokłócić.

Albo pokłócić. Ani ja, ani ich tata jej nie zastąpimy. Chociaż w tatę dzieci są wpatrzone, one go dosłownie wchłonęły. Jest ich bogiem i carem. To zaczęło się, kiedy jeszcze Ania żyła. Pamiętam, że kiedy zgoliła włosy, Jaś to bardzo przeżył i nie odstępował Jarka o krok.

Czy przed śmiercią Ani rozmawialiście z nimi o tym, że mama może umrzeć?

Nie. Najstarsza Oliwka miała wtedy 12 lat. Choroba trwała 1,5 roku. Ania wyjeżdżała do Szwajcarii, Ameryki, zmieniała się fizycznie, ale wciąż mieliśmy nadzieję, że z tego wyjdzie. Ja też, mimo że byłam doświadczona odchodzeniem innych członków rodziny. Dzieci nie przygotowywaliśmy na śmierć mamy w żaden sposób, Anię też oszczędzaliśmy.

Żałuje tego Pani?

Tak, czasami bardzo, chociaż dzieci oczywiście wiedziały, że z mamą jest źle. Pamiętam, że raz Oliwka zapytała, czy mama umrze, a ja odpowiedziałam wymijająco. Teraz, z perspektywy czasu wiem, że zwyczajnie od tej ważnej rozmowy uciekłam. Tylko że ja sama nie dopuszczałam myśli o śmierci.

Powiedziała mi Pani wcześniej, że Ania miała dobrą śmierć.

Tak, chociaż może w mediach to źle zabrzmi. Nie było mi dane być przy odchodzeniu rodziców i mojego pierwszego męża. Ani towarzyszyliśmy we trójkę, z Jarkiem i z Agnieszką. Z soboty na niedzielę przyjechała do nas Ela Skowrońska, pielęgniarka z Hospicjum Dutkiewicza, i namawiała do powrotu do domu i odpoczynku. Jednak Ania prosiła, bym została, a w niedzielę o 15.18 po prostu zasnęła. To był ból nie do zniesienia, jednak za nic nie dałabym sobie tego widoku odebrać. Była w czapeczce, którą kupiła na ostatnich zakupach trzy dni wcześniej. Myślę, że czuła naszą obecność. Biegu wydarzeń się nie odwróci, ale najważniejsze, że przy niej byłam. Kiedy na chwilę zostałyśmy same, obiecałam jej, że zadbam o dzieci i by o nic się nie martwiła. Wydawało się, że nie ma już świadomości, z trudem łapała powietrze, jak mały ptak, ale wtedy, jakby w reakcji na moje słowa, z oczu popłynęły jej dwie łzy. Już kiedy umarła, przyjechała Oliwka z Szymkiem i mieli czas na pożegnanie z mamą.

Hospicja to są placówki, które bardzo ludziom pomagają. Akcje charytatywne są ważne, ale największe serce jest tam, przy łóżku chorego.

Ania otoczona była też dobrą opieką ze strony hospicjum...

Nie dobrą, ale cudowną. Chciałabym podkreślić, że Ania była tylko i wyłącznie pod opieką gdańskiego Hospicjum Dutkiewicza, nie żadnego innego. Kiedy tam weszłam po raz pierwszy, zrobiło na mnie wrażenie pałacyku: te schody, przytłumione światło, kominek, pokój Ani. W tym hospicjum spotkaliśmy się z nieprawdopodobną życzliwością pielęgniarek, lekarzy, całego personelu, ale i wolontariuszy. To są niezwykli ludzie, chylę przed nimi czoła. Zawsze, ile starczy mi sił, będę wspierać te dwie placówki: gdyńską Bursztynową Przystań, bo jest po sąsiedzku, a ja już bardziej jestem kaszubką niż krakowianką, i gdańskie Hospicjum Dutkiewicza. Ze względu na pomoc, jakiej udzielaliście mojej Ani. Zawsze denerwuję się, kiedy słyszę negatywne opinie o osobach, które postanowiły oddać swoich bliskich pod opiekę hospicjum. W przypadku Ani dawaliśmy sobie radę, oczywiście korzystając ze wsparcia hospicjum domowego, w przypadku mojego szwagra już nie. Umarł w hospicjum. To są placówki, które bardzo ludziom pomagają. Akcje charytatywne są ważne, ale największe serce jest tam, przy łóżku chorego.

Czy pamięta coś Pani z pogrzebu?

Bardzo niewiele. Czasem włączam sobie nagrania w internecie, słucham, kto co mówił. Tamtego dnia nawet nie zdawałam sobie sprawy, ile ludzi chciało pożegnać moją Anię. Jeszcze przed pogrzebem postanowiłam, że poproszę, by pieniądze przeznaczone na ewentualne kwiaty podarować podopiecznym Bursztynowej Przystani. Efekt przerósł wszelkie oczekiwania. Miesiąc przed śmiercią oglądałyśmy z Anią reportaż o hospicyjnych dzieciach. Była pod wrażeniem. Do dzisiaj pamiętam Jej słowa: „Zobacz, ja trochę życia przeżyłam, a te dzieci?". Myślę, że Ania z tego mojego pomysłu byłaby dumna.

Co zostało po Ani?

Jej testament życia był prosty, skupiał się na tym, co wyniosła z domu i przekazała dzieciom: kochać swoją rodzinę, być zawsze pogodnym i pomagać innym. Ludzie kochali ją nie tyle za talent, ile za osobowość. Pamiętam, że kiedy spotykały się u mnie z Agnieszką, siadały na podłodze i zaczynały się wspomnienia, wspólne wygłupy. To były takie urocze chwile, bardzo mi ich brakuje. Dzieci widziały, jak się kochają i tę więź kontynuują między sobą.

Odwiedziła nas Pani podczas rodzinnego festynu z okazji początku lata.

Już kilkakrotnie przymierzałam się, by do was przyjść, ale nie miałam odwagi. Jestem bardzo wdzięczna za zaproszenie. Do Gdańska się nie przeniosę, ale jesteście mi bardzo bliscy. Będę was zawsze wspierać, z całego serca. W ten sposób moja Ania będzie trochę żyła.

Rozmawiała Magda Małkowska

Pomagać nie kazano

Na szczęście, bo ten tekst by nie powstał. Jerzy Szczepaniak, rocznik 39., do hospicyjnego wolontariatu wstąpił bez odgórnych poleceń czy za czyjąkolwiek namową. W życiu rozkazywał On, a nie Jemu, więc dlaczego po siedemdziesiątce miałoby się to zmienić? A dlaczego nie?

U Cecylii

P. Cecylia zbliża się do dziewięćdziesiątki. Ma piękną cerę i nieśmiały uśmiech. Jest też Jej córka, która mówi, że po wizycie z hospicjum mama ustawia się do pionu co najmniej na 2 dni. Teraz planuje zabrać Ją do siebie do Kiełpina, chociaż na weekend.

– Będzie chodził kot, będzie kogut, huśtawka w ogrodzie – Jerzy wylicza pozamiejskie przyjemności i dostaje uśmiech specjalnie dla niego. Jednocześnie trwa wymiana informacji z chorą i o chorej, a na stole rośnie stosik recept.

Po wyjściu, na schodach, doktor z Jerzym śpiewają „O mój rozmarynie...". W samochodzie pierwszy oddzwania do 4 pacjentów, drugi milczy jak zaklęty.

Fot.: Janusz Wojtacki

Przed wizytą

BACZNOŚĆ! ODMASZEROWAĆ!

O takich jak on mówią „rogata dusza". Od dziecka. Jerzy śmieje się, że ukochana babcia Michalina miała z nim skaranie boskie, bo nie lubił się ani myć, ani modlić. Szkoły też nie lubił. Jako trzynastoletni podrostek to nawet nie chodził do niej przez miesiąc, a potem, ze strachu przed karą, uciekł z kolegami na Śląsk. Zaliczył blisko 2 tygodnie wielkiej majówki. Szkołę średnią kończył z internatem, w innym mieście, a po maturze znowu uciekł, tym razem do wojska. *– U mnie w domu nie za bardzo miałem się do kogo przytulić, może poza babcią. Mama zmarła niedługo po moim urodzeniu, a tatę, przedwojennego oficera, po raz pierwszy zobaczyłem w wieku 9 lat. Nagle wrócił z Anglii i wziął się za wychowywanie syna. Byłem okropnie uparty, więc nie miał łatwo.*

Po maturze dostał się do Dęblina, do elitarnej szkoły wojsk lotniczych. Potem, przez 6 lat służył jako pilot i w domu był raczej gościem. To był czas tzw. zimnej wojny i prawie nieustannie obowiązywał I stopień gotowości bojowej. *– Nie, oczywiście, że się nie bałem* – moje pytanie Jerzego chyba dziwi. *– Pilot nie może się bać, chociaż utrata życia jest wliczona w każdy jego lot.*

Ze względów zdrowotnych musiał jednak latać przestać i po ukończeniu kolejnych studiów, tym razem na Wydziale Mechanicznym Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, pracował w jednostkach na terenie całego kraju. Między innymi nadzorował budowy lotnisk, od pewnego momentu już tylko na stanowiskach dowódczych. *– Wiesz, nie cierpiałem przydupasów i miałem dla nich jedną radę: „Baczność! Odmaszerować!". W wojsku trzeba być twardym i nie można tolerować ani lizusostwa, ani samowolki. Tu ze Szczepaniakiem nie było żartów.*

W 1991, w stopniu podpułkownika, odszedł na emeryturę.

U Jerzego

Doktor wypisuje recepty, gospodarz, emerytowany wojskowy, siedzi na kanapie, żona wciąż się kręci. Zaraz na początku Jerzy przesadza mnie na inne krzesło, bo chyba zajęłam Jego miejsce. Klimat na wesoło, z wątkami kulinarno-ogródkowymi. Doktora interesuje przepis na tiramisu, Jerzy chwali się zaprawami z buraków, prawie wszystkich rozmarza wspomnienie dobrej golonki. Atmosfera niemal piknikowa, ale to nie piknik. Przypomina o tym uważność w oczach obu moich towarzyszy.

Po wyjściu, na schodach, ciąg dalszy koncertu, repertuar wciąż patriotyczny. W samochodzie wymieniają się szczegółami wizyty, a potem obaj, na przemian, opowiadają mi o kolejnej pacjentce, która „szczególnie lubi Jurka". Jedziemy do P. Marii.

PIĘKNE ZESZYTY Z PO

Kiedy ma się 52 lata, dobre zdrowie i doświadczenie bardzo czynnego życia, z nicnierobieniem pogodzić się trudno. Po krótkiej przygodzie z własną firmą trafił, jako nauczyciel PO (przysposobienia obronnego), czyli dzisiejszej edukacji dla bezpieczeństwa, do ogólniaka w Gdańsku-Oliwie, słynnej „piątki", i do XIV LO na Zaspie. Początki nie były łatwe. W wojsku prowadził szkolenia, czyli musiał coś przekazać, tutaj za punkt honoru postawił sobie czegoś nauczyć.

„Pożal się Boże człowieku, co to za lekcja!" miała powiedzieć dyrektorka po hospitacji, kiedy zaczynał. Kiedy odchodził, po 14 latach belferki, urządzono mu królewskie pożegnanie.

– Bardzo poważnie podchodziłem do tej pracy. Do dziennika wpisywałem, co kazano w programie, a w rzeczywistości wyrzuciłem tematy wojskowe i zająłem się zagrożeniami oraz pierwszą pomocą – Jerzy wspomina te czasy z wyraźną przyjemnością i zaraz puszcza oko. *– Prowokowałem też różne rozmowy o życiu, mimo wszystko bardziej realne niż zagrożenie bombą atomową.*

– PO to taki obśmiewany przedmiot, wydawałoby się, że niepotrzebny, ale na lekcjach profesora Szczepaniaka zawsze stawialiśmy się w komplecie – wspomina Karolina, jedna z dawnych uczennic. *– Był ze starej szkoły robienia rzeczy porządnie. Wiem, to nie do wiary, ale zeszyt z PO jest jedynym, który trzymam do tej pory z czasów ogólniaka. Wszyscy mieliśmy je piękne, z godłem na pierwszej stronie, z podkreślonymi tematami. Przez szacunek dla nauczyciela.*

Na koniec nauki każdy z nas dostawał osobiste życzenia i podziękowania za wspólny czas. Chociażby dla wpisu profesora warto ten zeszyt zachować.

A ja ze stosu uczniowskich kartek, podziękowań, dyplomów i laurek wybieram jedną, od Agaty. „…podał Pan mi pomocną dłoń, zachęcił pochwałą, zrozumiał moją niemoc. To, że w końcu dotarłam do brzegu, zawdzięczam Panu. Dziękuję za to. Dziękuję za serce!".

U Marii

Drzwi w wieżowcu na granicy Gdańska-Oliwy otwiera młoda dziewczyna i prowadzi do pokoju z hospicyjnym łóżkiem. Na nasz widok chora się rozpromienia. Ten uśmiech dostaję awansem, naprawdę należy się doktorowi i skierowany jest do „pana Jureczka".

– Doktorze, bardzo boli. To już tak będzie?

Fot.: Archiwum prywatne

Z Maciusiem

Fot.: Janusz Wojtacki

U Pani Cecylii

– Nie, spróbujemy pomóc.

– Panie Jurku, przyszła kartka z Bukowiny...

Rzeczywiście widzę ją, wetkniętą za duży obraz wiszący nad łóżkiem. No tak, Jerzy był przecież w lipcu w Tatrach...

– Panie Jurku, to była taka radość, że Pan o mnie nie zapomniał...

Z tamtej wizyty nie pamiętam wiele więcej. P. Maria zaczęła płakać.

Po wyjściu, na schodach i w windzie, milczymy. Jerzy z doktorem mówić zaczynają dopiero na dole. Są rzeczowi, analizują przyczyny złego samopoczucia chorej. Jerzy podpowiada, że u źródeł może leżeć spodziewana zmiana opiekunki. Następnego dnia doktor jedzie tam jeszcze raz.

ZMIANA WARTY

Do hospicjum dojrzewał..., w ogóle nie dojrzewał. Chyba że podprogowo, bo kiedy, jeszcze z młodzieżą, przychodził na strzelnicę LOK-u przy ulicy Kopernika, z której hospicyjny budynek był na wyciągnięcie dłoni, odwracał od niego wzrok. Nawet nie chciał patrzeć na miejsce, gdzie umierają ludzie. Życie jest po to by żyć, a nie by kręcić się wokół śmierci. Może więc napis „Hospicjum to też Życie", który zobaczył na koszulce mężczyzny na witomińskim cmentarzu, trochę Jerzego zirytował, ale też na tyle zaintrygował, że do niego podszedł. Trafił na Krzysztofa, wolontariusza z Hospicjum Dutkiewicza. Nie mógł lepiej. Porozmawiali i tak znowu wrócił na Kopernika, tym razem do hospicjum.

– Dzisiaj sobie myślę, że do hospicjum popchnęła mnie moja mama. W ogóle jej nie znałem, ale to stojąc nad jej grobem spotkałem człowieka, który zachęcił mnie do tego wolontariatu. Ja już od jakiegoś czasu szukałem miejsca, gdzie mógłbym pomagać. Dom Dziecka, Dom Spokojnej Starości, ale nigdy hospicjum. A jednak tak.

Nie od razu trafił na swoje miejsce. Najpierw trochę udzielał się w hospicyjnych akcjach, koordynował je, kwestował, jednak nie czuł się w tym dobrze. Miał wrażenie, że rozmienia się na drobne. Propozycja koordynatorki wolontariatu opiekuńczego, by zaczął jeździć jako hospicyjny kierowca, była strzałem w dziesiątkę. Wydawała się przy tym taka nieskomplikowana, z prawem jazdy przecież chyba się urodził...

Fot.: Janusz Wojtacki

Pierogi z Panią Ewą

Hospicjum Domowe dla Dzieci

Pierwszy kurs był jak kubeł zimnej wody. Miał pojechać po małą Agnieszkę i zawieźć ją wraz z mamą na zajęcia rehabilitacyjne. Cóż prostszego? Drogę zna, rozmowę prowadzić umie, z dzieckiem pomoże... Jerzy śmieje się sam z siebie na wspomnienie swojej naiwności. – *Trzeba było czasu, by przekonać do siebie rodzinę dziecka. Liczyłem na komitywę błyskawiczną, a zajęło to parę miesięcy. Szczere chęci nie załatwiły wiele.*

Czasy przywództwa skończyły *się* bezpowrotnie, tu był inny świat. Jeżeli ktoś pełnił funkcję szefa, to nie on, a mama. Zaczął słuchać, pokorniał z tygodnia na tydzień. Był pierwszą osobą, z którą mamy dzieliły się swoimi wrażeniami po lekarskich wizytach, zarówno dobrymi, jak i smutnymi.

– *Był bardzo kulturalny* – opowiada Ola, mama Michała, którego Jerzy też często woził. – *Czułam się przy nim bezpieczna, bo nigdy nie podawał dalej tego, co ode mnie słyszał. I tak wspaniale mówił o górach. „Jeszcze Olu tam pojedziesz" pocieszał.*

Z dziećmi nie jeździ w hospicjum już od dawna, ale z ich rodzinami wciąż utrzymuje kontakt. Pamiętają o sobie przy okazji świąt i rocznic, wysyłają kartki, dzwonią, serdecznie się ściskają podczas przypadkowych spotkań. – *To była moja pierwsza hospicyjna szkoła pokory* – przyznaje.

Hospicjum Domowe dla Dorosłych

Wciąż pamięta ten kurs. Poproszono, by zawiózł chorą z oddziału stacjonarnego do szpitala na Klinicznej, gdzie miała mieć wykonany drobny zabieg. Nieustraszony pilot, dowódca kilku wojskowych jednostek, wychowawca młodzieży w tzw. trudnym okresie, lekko spanikował, bo na tę Kliniczną z hospicyjną pacjentką jechał sam. Udało się: zawiózł, doprowadził, zaopiekował się i wrócili szczęśliwie do hospicjum.

Prawdziwy chrzest przeszedł z pielęgniarką Izą w Pruszczu. Jechali do chorego na zaplanowaną wizytę i już po drodze dowiedzieli się, że zmarł. – *Wówczas po raz pierwszy miałem osobisty kontakt z ciałem nieżywego człowieka. Musiałem go ułożyć, przygotować na spotkanie z rodziną, pomóc odłączyć sprzęt. Kiedy siedzieliśmy już z powrotem w samochodzie, zaczęły mi się trząść ręce.*

Od 5 lat, dokładnie od 21 lipca 2012 roku, jeździ na wizyty z hospicyjnym doktorem Januszem Wojtackim. Według prywatnej statystyki Jerzego przejechali wspólnie około 16 000 kilometrów. Tworzą zgrany duet, ale początki nie były łatwe. – *Musieliśmy się dotrzeć. Przede wszystkim musiałem zrozumieć, że o charakterze spotkania z chorym decyduje sam chory i sytuacja. Teraz wiem, kiedy mogę zabrać głos, kiedy pożartować, a kiedy powinienem wyjść z pokoju. Tym jazdom z doktorem wiele zawdzięczam, na przykład to, że ludzi się nie dzieli, bo w cierpieniu wszyscy jesteśmy jednakowi.*

Klatka 1., zbliżenie: *Oczy córki, której mama przed chwilą umarła. Byliśmy przy tym. Kwadrans wcześniej zapytała się doktora, ile jeszcze mamie zostało życia. Wahał się, powiedział, że może 3 godziny, może doba. Poprosił, by powiadomiła rodzinę. Chora umiera parenaście minut później. Oczy córki i słowa: „A mówił pan, doktorze, że jeszcze 3 godziny chociaż...".*

Klatka 2., plan ogólny: *Pokój chorej, góra 20-letniej. I jej pytanie: A co wy tacy poważni jesteście?". To była nasza ostatnia wizyta, 2 dni później już nie żyła. Trzeba się uśmiechać.*

Klatka 3., plan amerykański: *Siedzą obok siebie, matka i syn, jedynak. On gaśnie w oczach. „Doktorze, syn zaczyna tracić wzrok...". „Mamusiu, ale ja jeszcze ciebie widzę!".*

Klatka 4., plan półpełny: *Siedzę blisko chorej i opowiadam o moich górach. Mówi mi, że nigdy tam nie była i słucha z wielkim przejęciem. Powtarza: „Panie Jurku, ja je widzę!".*

Klatka 5., plan półpełny: *Doktor zajęty jest wypisywaniem recept, a ja śpiewam z chorym ułańskie piosenki. Na jego życzenie.*

Klatka 6., plan ogólny, wielokrotny: *Wychodzimy od chorego. Mówię: „Ja się już pożegnałem" i słyszę: „Ja też".*

Po wizycie wymieniają się obserwacjami. Zwłaszcza dużo ma do powiedzenia Jerzy, któremu w sytuacji personalno-socjalnej chorego rozeznać się łatwiej. Zauważyć, czy w domu jest miłość czy obojętność, czy może konflikt. Czy jest względny dostatek, a może skrzętnie skrywana bieda. – *Oj, czasami, jakby ktoś nas w samochodzie między wizytami zobaczył, to by pomyślał, że w głowach mamy nie po kolei. Wygłupiamy się na całego, trzeba odreagować.* Widziałam.

Wiosna... panie pułkowniku

Zmiany po siedemdziesiątce? Nowe wyzwania z przedwojennym peselem? Mówią, że od pewnego wieku człowieka już zmienić się nie da. Jerzy tylko się uśmiecha. – *Przez całe życie przewodziłem, kierowałem, obmyślałem scenariusze i nagle znalazłem się w miejscu, gdzie musiałem uczyć się wszystkiego od początku. Zanim zostałem hospicyjnym wolontariuszem, tak naprawdę nie miałem pojęcia, co to jest ludzkie cierpienie. Tutaj jestem jego świadkiem każdego dnia.*

Wysoki rangą oficer zawsze krok za lekarzem czy pielęgniarką, z pochyloną głową przed hospicyjną mamą, z uwagą słuchający, a nie mówiący (czyt. rozkazujący) to jednak niecodzienny widok. Chociaż Jerzy Szczepaniak żołnierskiego ducha się nie wyzbył. – *Zapytałaś o lęk przed lataniem. Lotnik nie powinien się bać, a hospicjanin nie powinien płakać. Inaczej pierwszy nie będzie mógł latać, a drugi pomagać. To ważne. Ja o wszystkich chorych pamiętam, ale nie płaczę. Pewnie też dlatego, że w tym co robię, mam w domu od żony wspaniałe wsparcie.*

Magda Małkowska

Oni nam pomagają

To jest kwestia czasu, bo w natłoku innych spraw trzeba go znaleźć. To jest też kwestia chęci, bo trzeba ją mieć, by mimo tego natłoku dorzucić sobie kilka nowych zobowiązań. I na pewno jest to kwestia serca, bo trzeba je mieć także, i to wielkie, by bezinteresownie pomagać innym. Jak nasi Przyjaciele – gdańska Galeria Bałtycka i warszawski oddział Cushman&Wakefield.

Fot.: Agnieszka Figurska

Marcin Łukasiewicz
Dyrektor Centrum Handlowego Galeria Bałtycka

Galeria Bałtycka w Gdańsku-Wrzeszczu to jeden z najważniejszych adresów na mapie handlowej Trójmiasta. Zawsze i każdemu po drodze, zarówno samochodem, jak i środkami komunikacji miejskiej. Nasze centrum handlowe wpisało się już na stałe w krajobraz dzielnicy i w plany zakupowe mieszkańców Gdańska i okolic. Na trzech poziomach zlokalizowano około 230 sklepów, punktów usługowych i stanowisk, które dzięki imponującej różnorodności oferowanego asortymentu zaspokajają nawet najbardziej wyszukane potrzeby odwiedzających. Rocznie jest to liczba niebagatelna, bo sięgająca 10 milionów osób. I tak od 10 lat.

Wspieranie organizacji pozarządowych jest istotnym aspektem naszej codziennej pracy. Fundacji Hospicyjnej pomagamy prawie od początku naszej działaności. To u nas, na scenie na przeciwko sklepu Smyk, odbywają się jej cykliczne imprezy: w grudniu „Gwiazdy Malują Gwiazdy", a w okolicach Świąt Wielkanocnych „Wielkanocne Jaja". Wówczas umożliwiamy też fundacyjnym wolontariuszom kwestowanie na rzecz podopiecznych Hospicjum Dutkiewicza.

Pomagamy również innym organizacjom, m.in. : Pomorskiemu Hospicjum dla Dzieci, Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy, Pomorskiemu Kociemu Domowi Tymczasowemu czy fundacjom prowadzącym terapie zajęciowe. To ważne, że wszystkie one mają przestrzeń, w której mogą zaprezentować swoje idee.

Pomaganie jest piękne i ważne, również dla tych którzy pomagają. Ich życiu i ich pracy nadaje dodatkowy sens.

Cushman&Wakefield to międzynarodowa firma doradcza świadcząca usługi na rynku nieruchomości komercyjnych. Zajmujemy się przede wszystkim pośrednictwem w wynajmie powierzchni, zarządzamy nieruchomościami, obiektami i inwestycjami, obsługujemy transakcje na rynkach kapitałowych oraz świadczymy usługi w zakresie realizacji projektów deweloperskich. W tym roku obchodzimy stulecie działalności.

Od 100 lat pomagamy nie tylko naszym klientom w realizowaniu ich celów biznesowych, ale również wspieramy najbardziej potrzebujących. Nasi pracownicy chętnie angażują się w wiele akcji charytatywnych na całym świecie. W Polsce do tej pory przekazaliśmy 16 rowerów dla dzieci ze świetlic środowiskowych, braliśmy udział w akcji „Spełniamy Marzenia" prowadzonej przez UG Wiązowna, biegliśmy charytatywnie w akcji „Kwiecień miesiącem walki z autyzmem", w każdą Wielkanoc i Boże Narodzenie kupujemy od dzieci z SOSW im. Janusza Korczaka w Radomiu ozdoby świąteczne, z których dochód przeznaczony jest na zakup artykułów papierniczych i przyborów. Hasło „Hospicjum to też Życie" jest dla nas ważne i z Fundacją Hospicyjną czujemy się szczególnie związani. Co roku bierzemy udział w jej akcji „Uśmiech Dziecka na Dzień Dziecka" oraz zbieramy prezenty dla dzieci osieroconych.

Pomaganie to jedna z wartości naszej firmy, a dla każdego z naszych pracowników stanowi także ważny aspekt życia.

Fot.: Archiwum C&W

Laura Jabłonowska ***(od lewej)*****, Agnieszka Kot i Joanna Buczkowska**

CSR Managers
Cushman&Wakefield, Polska

Na dobry początek **REJS**

Zacznę od środka. Od środka nocy, bo mniej więcej wtedy, około pierwszej, zaczął się koncert. W helskiej marinie, na pokładzie jachtu STS „Generał Zaruski", znowu były wszystkie załogantki – blisko dwudziestka członkiń gdańskiego oddziału Akademii Walki z Rakiem. Po powrocie z wyprawy na cypel jedna z nich zagrała na hang drumie, instrumencie, który kształtem przypominał UFO, a jego dźwięki tę tożsamość tylko potwierdzały. Choć więc mogła to być muzyka gwiazd, szła z Ziemi i łączyła się z mocą słuchających kobiet. Kosmiczny akcent spotkania, by w żagle znowu powiał im wiatr.

Fot.: Zbiory FH

Załoga prawie w komplecie

POKAŻ MI SWÓJ BAGAŻ, A POWIEM CI, KIM JESTEŚ

Naprawdę zaczęło się poprzedniego dnia. Świeciło słońce, jak to w czerwcu, chociaż na portalach od tygodnia obiecywano deszcz. Za sobą miałyśmy tylko jedno wspólne spotkanie – na krzesłach, więc na sztywno. Pomysł Marzeny Grochowskiej, trenerki rozwoju osobistego od kilku lat zaprzyjaźnionej z Fundacją Hospicyjną, by ustawić nas w kręgu i na plecach partnerki poszukać... butelki rumu, trafił w punkt. Na pokład weszłyśmy wymasowane i rozluźnione, a tam otwierania się na siebie i na innych czekał już ciąg dalszy. Tym razem nad walizką...

W kolorowej walizce Marzeny, jak w damskiej torebce, znaleźć można było wszystko. Zabawki, biżuterię, przepaloną żarówkę, pustą butelkę, mnóstwo pozornie bezużytecznych rzeczy, za to wiele mówiących o właścicielce. Każda miała wyciągnąć jedną, a potem się z tego wyboru wytłumaczyć i powiązać z osobistym celem rejsu.

– Można być zachłannym i wziąć dwie? – Można.

Prezentacje szły jedna po drugiej.

– Wzięłam misia, bo jestem takim misiem, cała ja. Miękka i pluszowa. Wróży, że będzie przyjacielsko, miło i że wreszcie pora zrobić coś dla siebie.

– Wzięłam... Właściwie nie wiem, co to jest, ale ładnie błyszczy, a ja czasem lubię błyszczeć. Pół roku temu znowu zachorowałam i to był początek mojej przemiany. Nauczyłam się haftować, robię decoupage, zwolniłam. Przyjrzałam się samej sobie. Myślę, że rejs będzie dobrą kontynuacją tej zmiany.

– Wzięłam kamień. Spodziewałam się, że będzie zwykły, zimny, ale kiedy wzięłam go do ręki, uradowałam się, bo z drugiej strony miał piękny rysunek. Bardzo wierzę, że rejs pomoże mi odkryć drugą stronę kamienia.

– To jest mój pierwszy w życiu rejs, jestem pełna obaw, ale się zdecydowałam. Jakieś 3 lata temu otworzyłam się na ludzi, a teraz wyjęłam serce, symbol otwartości na życie.

– Wybrałam podkowę, symbol powodzenia i szczęścia. Zostałam wybrana przez los, by zachorować, a potem znowu wybrana, by chorobę pokonać. Być dalej aktywną, pracować, cieszyć się życiem. Robię to.

– Wzięłam motylka, bo chcę odlecieć gdzieś w lepsze przestrzenie i podniesiony kciuk na znak OK, bo będzie OK. OK, jestem za bardzo wzruszona, by mówić dalej.

– Mój jest ten pajacyk bez stopy i bez nosa. Niepełnosprawny, trochę tak jak ja. Ale uśmiechnięty też jak ja...

– Wyciągnęłam kostkę, coś najmniejszego. Do wyboru nie przywiązywałam wagi, zdałam się na los. Ten sam, który przyniósł mi chorobę. Wszystko, co się wydarzyło, to przecież kwestia losu. Zobaczę, co mi teraz on przyniesie, jestem otwarta.

– Mam anioła. Jedno skrzydło ma unieruchomione, ale przecież dalej jest aniołem...

– Wyciągnęłam kolorowe guziki, każdy ma inny kształt, tak jak ludzie i ich historie.

– Widzicie, to jest szyszka. Boję się wody tak, że nie pytajcie. Zgodziłam się na ten rejs, bo sobie pomyślałam, a co? Mam nadzieję, że jak ta szyszka nie zatonę.

– Szczęśliwi czasu nie liczą. Wzięłam budzik, który nie chodzi.

– Minęło 5 i pół roku od pierwszego zachorowania. Wybrałam korale i serce, jedno i drugie czerwone. 3 miesiące temu wróciłam do pracy. Moje 4 córki mi powtarzają, że czas wreszcie coś w życiu zmienić.

– Poprosiłam sąsiadkę, by coś wyciągnęła, a ona podała mi pustą butelkę. Może będzie z nią jak z bombonierką, każdy znajdzie w niej coś dla siebie. Płynę, by oderwać myśli od tego, z czym zmagam się na co dzień.

– Płynie się zawsze po coś. Tym razem też nie tylko na Hel i z powrotem, a przede wszystkim do siebie – to już znowu Marzena, która na pożegnanie do osobistych walizek żeglarek wrzuciła kilka życzeń i rad. – *Życzę, by ten rejs był naprawdę dla Was, byście czuły się na nim wyjątkowo dobrze. I by nie załatwił tego tylko rum...*

MORSKIE OPOWIEŚCI

No i się zaczęło.

– Miało być zero makijażu, co robisz tą kredką? – Muszę, nie mam rzęs. – A to OK.

– Rany, co by powiedział mój onkolog, 2 godziny przy sterze! 3 dni temu miałam chemię...

– Ale przeciąg, można zajść w ciążę. Tylko że nie mam macicy. – Ja też.

Fot.: Aroma Podjacka

Podnosimy żagle

Opowieść o El Camino. Historia jej przejścia, pokonania pieszo blisko 800 km słynnej francuskiej trasy do Santiago de Compostella, była ważniejsza niż dodana informacja, że miesiąc później usłyszała diagnozę raka wyjątkowej złośliwości i w zaawansowanym stadium. Jego też pokonała, chociaż w szczegółach wolała wracać do szlaku niż do choroby. Kiedy i ona minęła, poszła jeszcze raz, tym razem tylko 300 km…

Opowieści o pracy. Często bardzo bolesne. Prawie z dnia na dzień traci się kontakt z zawodowym środowiskiem. I trudno oswoić się z wizją rencistki, kiedy przed chwilą jeszcze było tyle planów.

Opowieści o górach. Jedna do nich wróci, bo tam się urodziła. W Trójmieście jest pięknie, góry na jakiś czas dla Trójmiasta można zostawić, ale wrócić trzeba. Druga po chorobie pokonała najtrudniejszą grań polskich Tatr, tę ze Świnicą i Orlą Percią. Wcześniej miała lęki, z lękiem wysokości na czele. Po raku odpuściło.

Opowieść o Oli. Ola z nami nie płynęła, nie znam Oli. Jej historię usłyszałam w okolicach północy na samym koniuszku półwyspu. Dzień wcześniej dwie z rejsowiczek zabrały ją na basen, a potem na kawę. Piękną, młodą, raczej zamożną. – *Przerzuty mam wszędzie* – przyznała się przy tej kawie. Obie doświadczone, obie wygadane, straciły rezon i język.

Opowieść o chorowaniu w Niemczech. Tam na chemię zawiozą karetką, a u nas trzeba jeszcze płacić za parking…

…

Najlepsze nalewki są z dzikiej róży, a najlepsza dzika róża rośnie w Sobieszewie. Po chemii pomaga Desperados, piwo o smaku tequili, a na łamliwe paznokcie kupuje się odżywkę z Rossmana. Niedrogą. – *Widzisz te dziewczyny? Sama młodość. Co one z nami tutaj robią?*

Na spotkaniu organizacyjnym przed rejsem przyznałam się, że nigdy nie chorowałam na nowotwór, ale najwyraźniej nie wszystkie usłyszały. W trakcie 2 dni wyprawy jeszcze kilka razy to powtórzyłam, już w osobistych rozmowach. Nie zapomnę błysku radości w oczach każdej z dziewczyn. I przytulenia, bym nigdy przez raka nie przechodziła.

PRZECHYŁY I PRZECHYŁY

Obok siebie w kubryku usiadłyśmy przypadkiem i rozmowa zeszła na partnerów. To dzisiaj bezpieczniejsze słowo od męża... – *Partner?* – „właścicielka" czerwonych korali i serca z kolorowej walizki Marzeny wyraźnie się obruszyła. – *Przestań. Mój mąż nawet nie wiedział, że przechodzę kolejne operacje. Moją chorobę zupełnie wyparł z głowy, a mnie z serca. Zmienił pracę, zamieszkał za granicą, Przestraszył się, mówił, że przesadzam. A ja przechodziłam cztery operacje. Zostałam sama z dziećmi. Starsza córka ma nowotworową fobię, wszędzie widzi u siebie raka. – Rozwiedliście się? – Tak, kilka miesięcy temu. Niedawno zadzwonił z czymś na kształt przeprosin, ale nie umiem mu wybaczyć.*

Miłość i jej brak, babski temat. Zrobiło się nas więcej. – *To jesteś na świeżo, od mojego rozwodu minęło 8 lat* – blondynka od kciuka i motylka rozmowie przysłuchiwała się od początku. – *Od 2 lat znowu się przyjaźnimy, a kiedy 1,5 roku zachorowałam, mój eks. bardzo mi pomógł.*

– A u mnie rak uratował małżeństwo – nie zauważyłam, że za plecami usiadła „fascynatka" kolorowych guzików. – *Myśmy się już kompletnie rozmijali. Kiedy rok temu zachorowałam, powiedział mi, że jestem miłością jego życia i przyrzekł, że nigdy nie zostawi.*

– Stawiamy żagle, załoga na pokład! – kapitan, chociaż może pierwszy oficer, przywołali nas do rzeczywistości. A ona była taka, że płynęłyśmy na Hel. Liczyło się tylko TU i tylko TERAZ. – *Panie kapitanie, ale*

Fot.: Zuzanna Ławryniuk

Podnosimy nogi

Fot.: Aroma Podjacka

Masters od salads w akcji

ja nie mogę, bo mam raka i zwolnienie lekarskie... Tego śmiechu i tak nie odtworzę.

Tak jak tej wrzawy, która wybuchła późnym wieczorem przy ladzie w nadmorskim barze: – *Bardzo przepraszam, ale mogę bez kolejki, bo mam raka? – Nieeee!!!*

Albo tego, co się działo kilka godzin wcześniej, kiedy do zawodów stanęły dwie dzielne drużyny masters of salads, a na pokładzie, na zaimprowizowanym stole znalazły się stosy warzyw, owoców, kiełków, ziaren i przypraw (bez soli), przygotowane przez Marię Fall-Ławryniuk, naczelną dietetyczkę i trenerkę Fundacji Hospicyjnej. Oczywiście remis z góry był przesądzony, chociaż jedne postawiły na ilość składników, a drugie kombinowały raczej z ich kompozycją.

„Dziewczynki" – kpt. Jaszczuk prawie od początku tak nazywał swoje załogantki. – *Bo wy jesteście dziewczynki* – tłumaczył mi pod koniec rejsu. – *Wiedzące, czego chcą, dojrzałe, dzielne, ale pełne dziecięcego uroku.* Kapitana przy sałatkowym stole nie było (chociaż porcję dostał), ale jego „dziewczynki" chyba najlepiej oddają tamten klimat. I tamten z następnego dnia, kiedy część grupy wstała o czwartej rano, by o czwartej siedem witać słońce, a potem już ze wszystkimi na plaży puszczać bańki i grać we freesby.

A NA LĄDZIE…

Z Violą Węsierską i Anią Kazimierczak spotkałam się kilka dni przed wyprawą. Koniecznie chciałam pogadać z inicjatorkami rejsu. Opowiedziały mi swoje historie.

Fot.: Zuzanna Ławryniuk

Poranna gimnastyka na plaży

Viola: – *Zachorowałam 2 lata temu. Nowotwór wykryto mi zupełnie przypadkowo, przy czym robiona niedawno mammografia była bez zarzutu. Na początku nie do końca w niego uwierzyłam, podobnie jak bliscy, ale kolejne badania go potwierdziły i zdecydowałam się na operację. To miał być koniec, dalszego leczenia w ogóle nie brałam pod uwagę. Niestety czekała mnie chemioterapia, brachyterapia, herceptyna. Zwłaszcza nie mogłam zaakceptować tej chemii, ale pomogło jedno zdanie brata: „Zobaczysz, za rok będziemy się z tego śmiali". I poszłam. Wchodzę na oddział, a tam dookoła same żywe trupy. Podeszła do mnie jedna dziewczyna, Magda jak ty, ładna, dwudziestoparoletnia, i wprowadziła w tamtejsze zwyczaje. Wiele mnie nauczyła. Była taka dzielna, miała małą córeczkę.*

– *Masz z nią kontakt?*

– *Zmarła. Któregoś dnia upadła. Okazało się, że ma przerzuty do mózgu. To mnie tak przeraziło, bo pomyślałam, że też będę je mieć. Przestałam w ogóle o siebie dbać, przestałam się ruszać. Spałam i jadłam. Spałam i jadłam. Zrezygnowałam z zajęć w Akademii, ale oni ze mnie nie i któregoś dnia zadzwoniła Maria i kazała przyjść. Zagroziła, że inaczej wszystkie stawią się w moim domu. Zaczęłam znowu chodzić, ale od tematu choroby uciekałam. Dobrze robił mi basen, gimnastyka, ale też wspólna kawa czy pójście do sklepu… Podczas zajęć w Aquaparku poznałam Anię…*

Ania: – *Jestem weteranką, zachorowałam w lutym 2006. Też miałam szczęście, bo jeszcze w grudniu na badaniu usg nic nie wykryto. Poddałam się jednak badaniom genetycznym i one wykazały, że zachoruję w 99%. Rzeczywiście, w lewej piersi był guz. Operacja, chemia, półtora roku na świadczeniu rehabilitacyjnym. Dla mnie i dla moich bliskich to była tragedia. Siedziałam w domu i ciągle płakałam. Koleżanka w radiu usłyszała, że przy Fundacji Hospicyjnej otwierana jest Akademia Walki z Rakiem i tak tu trafiłam. Potem wróciłam do pracy przekonana, że koszmar choroby mam już na zawsze za sobą.*

– *Wrócił.*

– *Wrócił. W 2012 roku, tym razem guz był w prawej piersi. Przeżyłam szok. Wiesz, że na 12 godzin straciłam pamięć...? Znowu chemioterapia, radioterapia, brachyterapia. Moja młodsza córka była wtedy w ciąży. Przestałam pracować i do 2016 roku zostałam na świadczeniu rehabilitacyjnym, a potem przeszłam na emeryturę.*

Ania i Viola wymyśliły ten rejs. Mówią, że jego pomysł narodził się ze strachu. Z wewnętrznego przymusu działania, bo jutro może być za późno. Były silne w chorobie, a teraz postanowiły być silne gdzie indziej. I jeszcze wziął się z wielkiej potrzeby przebywania wśród osób z doświadczeniem choroby, ale jednocześnie z wielkim apetytem na życie. One mają na nie ogromny.

HAPPY END

– *Już wiem, jak można to ująć!* – z Violą spotkałam się nazajutrz po rejsie. – *Napisz, że ten rejs zamknął pewną książkę. Była trudna, bardzo smutna, ale przynajmniej miała szczęśliwe zakończenie. Teraz ciekawa jestem już zupełnie innej.*

Magda Małkowska

Gorące lato

Może w pogodzie nie takie gorące, ale w Funduszu Dzieci Osieroconych już tak. Letnia kanikuła to zwyczajowo bardzo pracowity czas dla wszystkich, którzy angażują się w pomoc jego podopiecznym. I nie wolno zapomnieć, że za pasem kolejny szkolny rok, do którego dzieciaki też trzeba dobrze przygotować. Typowe, gorące lato w Funduszu.

WAKACJE W PRZYSTANI

W dniach od 26 czerwca do 7 lipca dla podopiecznych FDO trwały „Wakacyjne Spotkania" w świetlicy „Przystań". Uczestniczyła w niej 13. dzieci w przedziale od 6 do 15 lat. W ich animację włączali się też wolontariusze. Dzieci były między innymi na Helu, w Loopys Word, Jump City, a także uczestniczyły w warsztatach garncarskich oraz w zajęciach zorganizowanych przez Lufthansę. Dwa tygodnie minęły zdecydowanie za szybko.

WAKACJE NA WYJEŹDZIE

„Spakuj plecak swój i gitarę…" . W dniach od 23 lipca do 2 sierpnia 30. dzieci odpoczywała na obozie artystyczno-sportowym w Garczynie. Wśród uczestników byli podopieczni Hospicjum Dutkiewicza, Hospicjum z Tczewa, św. Wawrzyńca z Gdyni, Pomorskiego Hospicjum dla Dzieci i Fundacji Pomorze Dzieciom. Przez 10 dni w Garczynie dzieci tworzyły przepiękne ozdoby z betonu i gipsu, uczyły się samoobrony, odbyły warsztaty gliniarskie w Chmielnie. Jak co roku obóz poprowadziła Beata Wołkanowska z Fundacji 50. Aleja.

Natomiast 30 lipca, dzięki uprzejmości gdyńskiego oddziału Project Manager Institute, kilkoro naszych podopiecznych wzięło udział w obozie językowym w Szarlocie koło Kościerzyny. Na dzieci oprócz nauki języka czekało sporo atrakcji, między innymi: warsztaty taneczne oraz spotkania z Julią Pietruchą i Maćkiem Gleba Florkiem. Na zakończenie obozu każda z grup przygotowała swój układ taneczny.

Wreszcie, już na sam koniec wakacji, w dniach od 21 do 26 sierpnia 9. dzieci pojechała na warsztaty wspinaczkowe do Rzędkowic w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, gdzie pod okiem wolontariusza Krzysztofa i innych instruktorów wspinaczki szkoliła swoje umiejętności na prawdziwych skałach.

WAKACJE NA SPORTOWO

19 sierpnia, podczas IX Maratonu Sierpniowego im. Lecha Wałęsy, największej imprezy rolkarskiej w Polsce, oczywiście też byliśmy. TUMBOteam, w skład którego tym razem wchodzili również nasi podopieczni, wystartowała we wszystkich trzech dystansach: fitness (10 km), półmaratonie i pełnym maratonie. W trakcie imprezy nasi wolontariusze również kwestowali na rzecz Funduszu.

Fot.: Anita Mrug-Bazylczuk

Ale wkoło jest wesoło…

WAKACJE Z MYŚLĄ O SZKOLE

W lipcu i w sierpniu trwała coroczna akcja „Kolorowy Piórnik", której celem jest pozyskanie szkolnych wyprawek dla podopiecznych Funduszu w całej Polsce. Udział wzięły w niej zarówno firmy, jak i osoby prywatne, a my staraliśmy się organizować dodatkowe zbiórki w hipermarketach. 17-19 sierpnia obecni byliśmy w L'Eclercu na Przymorzu, 1-10 sierpnia w CH Auchan w Gdańsku-Osowej, a 25-27 sierpnia w CH Auchan, przy ulicy Szczęśliwej.

WAKACJE Z PRZYJACIÓŁMI

28 sierpnia, na terenie 49. Bazy Lotniczej w Pruszczu Gdańskim, odbył się piknik z okazji Święta Lotnictwa, a my, jak co roku, otrzymaliśmy na niego zaproszenie. Oczywiście skorzystaliśmy z wielką ochotą i pojechaliśmy do Pruszcza z naszymi podopiecznymi i ich rodzinami. W znacznej mierze byli to też podopieczni żołnierzy, którzy wielokrotnie już dali dowody, że czują się za nich odpowiedzialni. Podczas imprezy mieliśmy okazję zobaczyć śmigłowce, salę tradycji, spadochroniarnię, a przy ognisku świetnie się bawić. Trochę na osłodę, bo w następnym tygodniu zaczął się kolejny rok nauki.

Justyna Ziętek
Koordynatorka Funduszu Dzieci Osieroconych

Fot.: Krzysztof Filipowicz

U Przyjaciół w 49. Bazie Lotniczej

Miłka i czekoladowy przyjaciel

Księgarnia
Fundacji Hospicyjnej

Opowiadanie „Za siódmą górą" Magdy Małkowskiej, zilustrowane przez Hannę Kmieć pod opieką artystyczną Janusza Górskiego, jest drugą propozycją serii bajek terapeutycznych Fundacji Hospicyjnej – „Bajek Plasterków". Składające się na nią historie poruszają tematy śmierci oraz żałoby w życiu dziecka i przynoszą ukojenie.

„Za siódmą górą" to książeczka przeznaczona dla dzieci w wieku 4-9 lat, którym umarł tata. W opowiadaniu ukazane zostały kolejne etapy emocjonalnego zmagania się kilkuletniej Miłki z bolesną stratą. Po śmierci ukochanego taty dziewczynka milknie, próbuje być „dzielna" i „nie przeszkadzać". Świat, który do tej pory znała, znika całkowicie, przynajmniej tak się Miłce zdaje. Dziecko traci umiejętność rysowania i wspomagania się wyobraźnią. Traci również mamę, którą całkowicie pochłania opieka nad młodszą siostrą Miłki.

Nadchodzi jednak dzień, w którym mama i córka zaczynają rozmawiać. Dziewczynka powoli odkrywa, że nie wszystko, co kochała, odeszło wraz ze śmiercią taty. Pozostały opowiadane przez niego bajki, wśród nich ta ulubiona, o czekoladowym koniu. Zaskoczona Miłka przekonuje się, że mama potrafi także snuć opowieści i może być dobrym towarzyszem wyobrażanych przygód. W dziewczynce powoli odradza się nadzieja, powraca świat wyobraźni i chęć rysowania. Tata zaczyna być obecny w jej myślach i w sercu. Miłka dopuszcza do siebie emocje, zaczyna się dzielić nimi z mamą i obie na nowo uczą się wspólnego spędzania czasu.

Najlepszym sposobem na wsparcie dziecka w żałobie jest wsłuchanie się w jego przeżycia. Bajka „Za siódmą górą" daje przykład, jak to robić. Historia Miłki pomaga czytelnikowi nazwać własne przeżycia i ujawnić swoje myśli. Dziecko opowiadając o sobie, podejmuje krok w kierunku pokonania drogi własnej żałoby. Opowiadanie może stanowić także początek nowych relacji, gdzie dziecko i dorosły zaczynają rozmawiać o tym wszystkim, co nie zostało do tej pory wypowiedziane w rodzinie, bo było zbyt bolesne. Natomiast dorosły ma możliwość odkrycia wewnętrznego świata dziecka i podjęcia rozmowy o jego problemach. Książkę polecam wszystkim dorosłym, którzy szukają porozumienia z osieroconym dzieckiem.

Na stronie www.tumbopomaga.pl umieszczone zostały szczegółowe wskazówki, dotyczące wykorzystania bajki do należytego wsparcia osieroconego dziecka. Wszystkie materiały są częścią programu wsparcia psychologicznego dzieci i młodzieży w żałobie pt. „Tumbo Pomaga", realizowanego przez Fundację Hospicyjną.

Agnieszka Paczkowska, psycholog, psychoonkolog, koordynator merytoryczny programu Tumbo Pomaga

200 SKLEPÓW, 300 MAREK

Gdańsk, al. Grunwaldzka 141
Zapraszamy: Pon. – Sob. 9:00 - 21:00
Niedz. 10:00 - 20:00

Masterlease
Mistrz leasingu i zarządzania flotą

Wynajem elastyczny

Korzyści wynajmu elastycznego z Masterlease:

- brak wkładu własnego
- użytkowanie pojazdu od 3 do 24 miesięcy
- możliwość bezkosztowego skrócenia okresu wynajmu
- pełny pakiet ubezpieczeń i likwidacja szkód komunikacyjnych
- wymiana, serwis i przechowywanie opon
- gwarancja samochodu zastępczego
- 24 godzinny Assistance
- brak kosztów związanych z obsługą techniczną i serwisowaniem pojazdów
- możliwość wliczenia kosztu wynajmu w koszty uzyskania przychodu firmy

Prime Car Management S.A.
Futura Leasing S.A.
Masterlease Sp. z o.o.
Futura Prime Sp. z o.o.

Centrala: ul. Polanki 4
80-308 Gdańsk
tel. (58) 340 44 00
e-mail: centrala@masterlease.pl

kontakt: (22) 100 63 72
www.wynajemelastyczny.pl

Hospicjum to też Życie
Fundacja Hospicyjna
XIV kampania społeczna „Hospicjum to też Życie"
OPIEKUN RODZINNY – NIE MUSI BYĆ SAM
WEJDŹ NA HOSPICJA.PL
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ